CZWARTEK
Nr 34 20.III.1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Poprzedzała zawieję, burzę z piorunami i... początek wiosny

WIDZIELIŚMY TĘCZĘ ZIMĄ!

WARSZAWA (Inf. wł.). To nie rozgrzewka przed prima-aprilisem! 1 marca – a więc jeszcze w zimie – około godziny szóstej rano nasz pracownik widział w okolicach Wieliszewa nad Zalewem Zegrzyńskim najprawdziwszą tęczę! Zjawisko optyczne prawie nie widywane o tej porze roku, rzadko też w godzinach porannych.

Tęcza normalnie pojawia się na chmurze *Cumulonimbus*, na ścianie deszczu, gdy ta zostanie z przeciwka oświetlona słońcem. Widziana przez nas tęcza znajdowała się jednak na tle dość rzadkich i cienkich chmur, jednocześnie w chwili, obserwacji nie padał deszcz. Pracownicy Instytutu Geofizyki UW powiedzieli nam, że opad grubokroplistego deszczu jest niezbędnym warunkiem wystąpienia tęczy. Należy więc podejrzewać, że taki padał, ale na pewnej wysokości nad ziemią.

Tęcza jest w ogóle – wbrew pozorom – zjawiskiem dość rzadkim, pojawia się w danej miejscowości średnio tylko 2–3 razy w roku. Do jej powstania trzeba bowiem szczególnych warunków – silnego deszczu i jednocześnie... słońca. O wiele częstsze choć nie tak efektowne, są inne kręgi i wstęgi świetlne, zwane *halo*, pojawiające się w pobliżu słońca na cienkich chmurach, złożonych z kryształków lodu.

Mała Encyklopedia Przyrodnicza w swych prognostykach pogody podaje: *„Tęcza rano i przed południem – burza lub wichura"*. Widziana przez nas tęcza zwiastowała śnieżycę, która rozpoczęła się w kilkadziesiąt minut po jej zniknięciu. Następnego dnia była w okolicach Warszawy burza śnieżna z piorunami, po której nadeszły wiatry i gwałtowne zadymki, a potem – pierwsze dni naprawdę wiosennej pogody **(tok)**

ZAPOMNIANE STOLICE CEJLONU (str. 4)

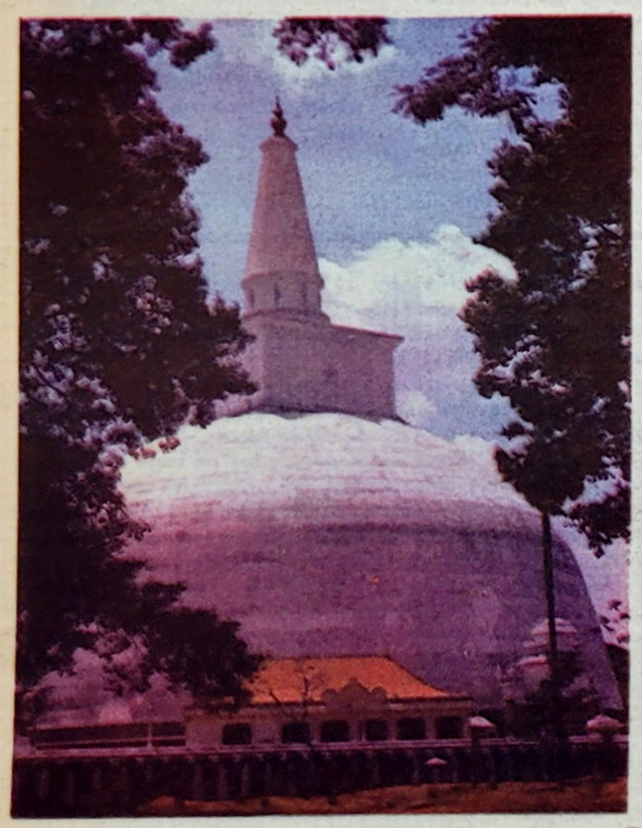

Świątynia Ruwanveliseya, zbudowana w II w. p.n.e., jej wysokość równa się trzydziestoparopiętrowemu nowoczesnemu budynkowi (103 m). Fot. **B. Wiktorowicz**

PIERWSZY DZIEŃ WIOSNY JUŻ JUTRO!

CZY POWITA NAS SŁONCEM? – *oto jest pytanie*
SŁOŃCE POWINNO BYĆ W NAS! – *oto jest odpowiedź.* I TEGO ŻYCZYMY WSZYSTKIM CZYTELNIKOM Z CAŁEGO SERCA.

Fot. **J. Łopuszyński**

REPORTER Świata Młodych

„LEW" szczęśliwy w piątek

Wczoraj był piątek, a jak mówią przedwojenne horoskopy – jest to dzień szczęśliwy dla „Lwa". No więc jeszcze w czwartek pomyślałem sobie, że do lekcji nie ma się co przykładać, bo mnie na pewno nie będą pytać. Szczęśliwy dzień.

Przyszedłem do szkoły roześmiany, ucieszony. Pierwsza lekcja, zaczęła się, owszem, pytaniem, ale daleko ode mnie. Ale oto nauczycielka przypomniała sobie o mnie. Niedługo byłem na środku klasy. Zaraz, dosłownie zaraz usiadłem, ale z nowym ciężarem. Więc wróżby zawiodły? Tak, pierwsza lekcja skończyła się pechowo.

Na drugiej miała być botanika. Wkuwałem więc na przerwie. Ale pech tego „szczęśliwego" dnia mnie nie opuszczał. Nasze nauczycielki zamieniły się lekcjami. Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. Przecież ja z historii nic nie umiałem! Jak się wali, to się wali – wszystko naraz. Na j. rosyjskim, jak na złość – byłem wywołany.

– No kochaneczku, przeczytaj mi to – wskazała nauczycielka.

...Coo..., ja? – jęknąłem. – Ale ja się nieee na..nauczyłem. – Nauczysz się więc na jutro – nauczycielka okazała się wyrozumiała.

Odetchnąłem jak... słoń. Może to ten piątek pomógł? W dalszym ciągu nieudanych lekcji – gramatyka i co najgorsze dyktando. O zgrozo! Kochana pani polonistka ułożyła opowiadanko. Ale jakie! Ma zdolności. Z owego dyktandka otrzymałem „3"–. To prawdziwy sukces w dzisiejszym „szczęśliwym" ponoć dniu.

Szczęśliwy dzień – tak. Z dwoma dwójami i trzy minus. I jak tu komuś zaufać? To był na pewno szczęśliwy pech.

PAWEŁ WALEWSKI
Sosnowiec

HARCERSKI KLUB MIŁOŚNIKÓW JĘZYKA FRANCUSKIEGO DZIAŁA W KOŁOBRZEGU

KOŁOBRZEG (HSI). Już czwarty rok w IV Szczepie HSPS przy Zespole Szkół Zawodowych w Kołobrzegu działa Harcerski Klub Miłośników Języka Francuskiego. Co roku w maju Klub organizuje Majowe Targi z Książką; tu między innymi – wystawę wydawnictw francuskich, loterię książkową oraz projekcje filmów dokumentalnych i krajoznawczych. Również co roku organizowane są Dni Kultury Francuskiej. Tradycją stał się wieczór poetycki „Paryż w poezji", a także wystawy plakatów: „Największe porty francuskie" i „Zabytki Paryża". Jedną z najciekawszych imprez był wieczór klubowy przebiegający pod hasłem „Młodzież we Francji", na którym uczniowie kołobrzeskiej szkoły zapoznali się z życiem swoich francuskich rówieśników.

(kż)

PH SZCZECIN

Razem budujemy „Dar Młodzieży"

Włączając się do akcji budujemy „DAR MŁODZIEŻY", POCZTA HARCERSKA-SZCZECIN działająca przy Szczepie Harcerzy Głuchych w Szczecinie informuje, że wydała znaczek-winietkę z sylwetką przyszłego żaglowca. Matrycę w gumorycie na podstawie winietki ze „Świata Młodych" wykonała dh Barbara Remecka.

Znaczki Poczty Harcerskiej rozprowadzane są już od dziś w cenie 50 gr za sztukę. Główne nasilenie ich sprzedaży będzie miało miejsce w czerwcu, w ramach obchodu „Święta Morza" i jubileuszu XX-lecia Poczty Harcerskiej – Szczecin. Dochód ze sprzedaży winietek przekażemy na konto budowy „Daru Młodzieży".

Dla zainteresowanych podajemy nasz adres: ZHP Szczep Harcerzy Głuchych przy PZW dla Dzieci Głuchych w Szczecinie ul. Szpitalna 15, 70-116 Szczecin.

Naczelnik PH – Szczecin
hm PL Józef Grabarczyk

U góry reprodukujemy znaczek-winietkę PH.

CO DALEJ ? OSMA KLASO

Dziś czynne dwa telefony!

Pod numerem **21-47-06** otrzymają odpowiedzi wszyscy ci, których interesują **szkoły ekonomiczne**.

Pod numerem **28-56-18** wszystkim niezdecydowanym porad udzielać będzie **psycholog**.

To nam się podoba!

ZESTAWY ELEKTRONICZNE DLA MAJSTERKOWICZÓW

Zakłady Teleelektroniczne „TELKOM-TELFA" w Bydgoszczy rozpoczęły produkcję zestawów politechnicznych, składających się z gotowych podzespołów elektronicznych. Majsterkowicze zainteresowani elektroniką będą mogli z nich wykonać zamki szyfrujące, domowe aparaty głośno mówiące itp. W tym roku bydgoskie zakłady dostarczą około 15 tys. takich zestawów. Oferta jest wprawdzie skromna, ale liczymy, że producent znajdzie możliwości jej wzbogacenia. Chętnych zgłębienia tajników elektroniki jest bardzo wielu.

Fot. **CAF**

Już wkrótce powstanie nowe państwo

ZIMBABWE

Przed kilkoma tygodniami pisaliśmy na tym miejscu o trudnym, przedwyborczym okresie Rodezji. Kraj ten będący dawniej kolonią brytyjską, od 1965 roku rządzony był przez samozwańczy rasistowski reżim Smitha. Oficjalnie Londyn nigdy nie uznał tego rządu, ale do jego upadku doprowadziły siły Patriotycznego Frontu Zimbabwe, prowadzące od lat wojnę partyzancką. Biali w końcu zmuszeni zostali do kapitulacji. Od grudnia ub. roku Rodezja stała się znowu kolonią brytyjską. Ale tylko na krótko. 4 marca cały świat poznał wyniki przeprowadzonych wyborów. Bezapelacyjne zwycięstwo odniosły siły patriotyczne. Najwięcej mandatów, bo aż 57 (w stuosobowym parlamencie) zdobył Afrykański Narodowy Związek Zimbabwe – Front Patriotyczny (ZANU-PF), kierowany przez Roberta Mugabe. Sojusznik ZANU-PF z czasów walki o niepodległość, Afrykański Ludowy Związek Zimbabwe (ZAPU), kierowany przez Joshuę Nkomo otrzymał 20 mandatów. Druzgocącą porażkę poniosło ugodowe ugrupowanie biskupa Abla Muzorewy – tylko 3 mandaty. Pozostałe 20 miejsc w parlamencie zapewnił sobie Front Rodezyjski Iana Smitha w oddzielnych wyborach przeprowadzonych wcześniej dla białej mniejszości.

W tej sytuacji gubernator brytyjski zmuszony był powierzyć funkcję premiera niepodległego Zimbabwe Robertowi Mugabe, człowiekowi o zdecydowanych poglądach marksistowskich.

Robert Gabriel Mugabe ma dziś 55 lat i uważany jest za człowieka światłego. Posiada (według francuskiego dziennika „Le Monde") 6 dyplomów ukończenia studiów wyższych, w tym tytuł doktora praw uniwersytetu londyńskiego. W 1976 roku Mugabe ze swoim ZANU i Nkomo z ZAPU tworzą wspólny sojusz pod nazwą Front Patriotyczny Zimbabwe. Po latach wspólnej walki wyzwoleńczej, do wyborów obydwie partie stanęły oddzielnie. Mimo iż Mugabe odniósł w wyborach przytłaczające zwycięstwo, nadal uważa ZAPU za „naturalnego sojusznika" i zaproponował w swoim rządzie kilka stanowisk ministerialnych członkom tej partii. M. in. tekę ministra spraw wewnętrznych powierzył Nkomo.

Jakie będzie oblicze polityczne państwa Zimbabwe? Odpowiedź na to pytanie dają wypowiedzi samego Mugabe. Mimo iż zawsze wypowiadał się za zasadami socjalizmu to jednak zapowiadane reformy przeprowadzane będą stopniowo i trwać będą nawet latami. Np. parcelacji i nacjonalizacji poddane zostaną na razie tylko te fermy i przedsiębiorstwa należące do białych, które zostały bądź opuszczone, bądź są zaniedbane. W dziedzinie zagranicznej, niezawisłe Zimbabwe będzie prowadzić politykę pokoju i dobrego sąsiedztwa ze wszystkimi krajami, ale na wszystkich konferencjach międzynarodowych będzie występować przeciwko apartheidowi i dyskryminacji rasowej. Zapowiedź ta, jak i samo powstanie nowego „czarnego" państwa u granic RPA wzbudza niemałą irytację w Pretorii. Zimbabwe, które ma wielkie szanse dorobić się własnego modelu państwa wielorasowego, opartego na równości wszystkich obywateli, i w dodatku o orientacji socjalistycznej, będzie z pewnością promieniować i na czarną większość w Republice Południowej Afryki – ostatni bastion białych. (b)

NA PRZYKŁADZIE TORUNIA

„Zaufaliśmy wam, więc załatwcie to"

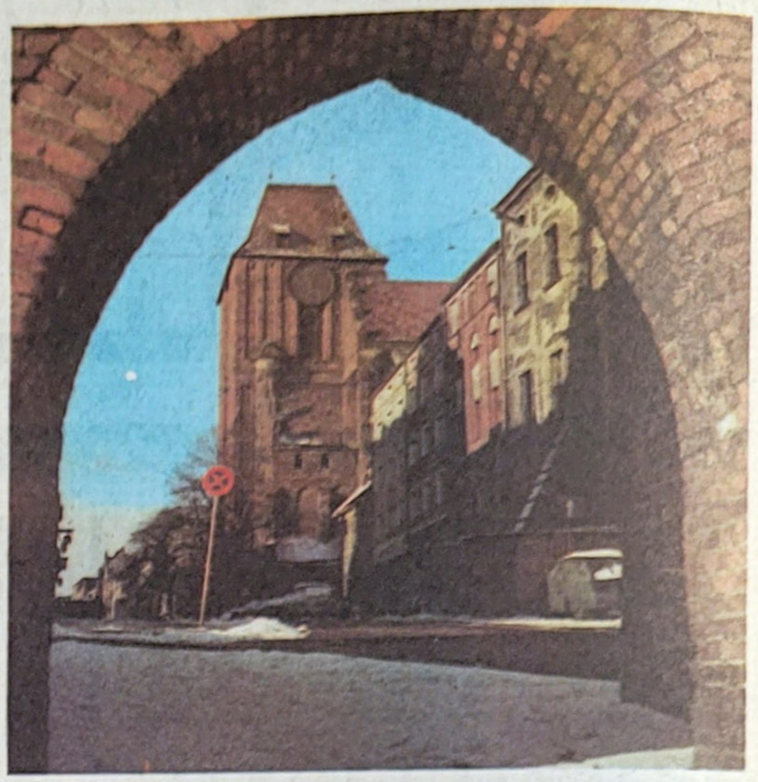

Toruńskie stare miasto – widok z Bramy Żeglarskiej na ulicę o tej samej nazwie. W głębi – gotycki kościół Św. Jana, z prawej – jedna z kamienic odnawianych przez PKZ

Gmach Wojewódzkiej Rady Narodowej w Toruniu stoi akurat tak, że z jego okien można oglądać i stare, i nowe. A więc – z jednej strony starówkę, o której coraz częściej mówi się i pisze, że wymaga ochrony i rewaloryzacji, bo bez niej już długo nie wytrzyma. Z drugiej – nowe budownictwo, które wciąż tak mało nam się z tym miastem kojarzy – nowoczesne bloki, na nich reklamy świetlne, które przybyszowi mówią już coś niecoś o tutejszym przemyśle. Chciałoby się rzec – z jednej strony widać Toruń dawny, zabytkowy, ale jeszcze powiatowy, z drugiej nowy, ale już wojewódzki. Byłoby to jednak zbyt duże uproszczenie. Nie jest bowiem tak, że to po reformie administracyjnej, przyznającej wielu ośrodkom status nowych województw, zaczęło się w tych ośrodkach wszystko, co nowe i najlepsze. Nie jest też tak, że nowy status przynosi same blaski, bez cieni i bez kłopotów. Ale z drugiej strony – województwo, to inna skala zamierzeń, inny rozmach... i okazja do rozruszania tego, co przedtem, w powiecie latami trwało w uśpieniu.

Dlatego, gdy przyszło mi pisać o pracy którejś z naszych 49 wojewódzkich rad narodowych, wybrałam WRN w Toruniu. Mieście niegdyś powiatowym, które jednak z powiatem nie bardzo się kojarzyło, jako prężny ośrodek naukowy o dużych tradycjach, siedziba uniwersytetu, wreszcie drugi co do unikalności po Krakowie zabytkowy zespół miejski. W czasach powiatowych o dbałość o jego unikalną substancję nie była najmocniejszą stroną miasta. A dziś? Postanowiłem przypatrzeć się pracy komisji problemowych WRN w Toruniu między innymi na przykładzie tej ostatniej sprawy...

Wniosek dotyczący odnowy toruńskiej starówki znajduję pod datą 24.X.78 r. – w specjalnej księdze, do której wpisuje się też sposób ich rozpatrzenia przez odpowiednią komisję.

Sama rada działa bowiem tylko na krótkich sesjach, odbywanych kilka (nie mniej jednak niż 4) razy w roku i nie wystarcza to do skutecznego kierowania przez nią rozwojem swojego terenu. Utrzymywanie kontaktu z ludnością, zbieranie opinii, kontrole – to właśnie zadania specjalnych komisji. WRN posiada ich siedem, każda zajmuje się inną tematyką. A więc zagospodarowaniem przestrzennym, gospodarką komunalną, komunikacją i łącznością, zaopatrzeniem i usługami, zdrowiem, wychowaniem, oświatą i kulturą, wreszcie – przestrzeganiem prawa i porządku publicznego. Każda komisja ma za szefa jednego członka prezydium. Łącznie jest ich jedenastu. W skład komisji wchodzą nie tylko radni, ale mogą to też być ludzie spoza rady.

Sprawy napływają różnymi drogami. Czasem prezydium wskazuje, czym powinna się komisja zająć, kiedy indziej podejmuje ona pewne tematy sama – najczęściej w wyniku przeprowadzonej w terenie kontroli.

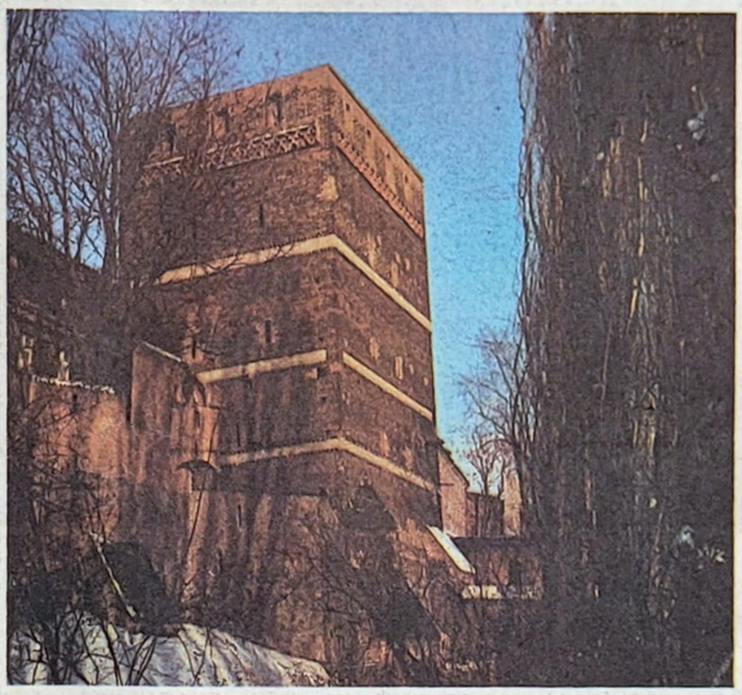

Krzywa Wieża – jeden z najpopularniejszych zabytków Torunia

Przebieg posiedzeń komisji – jak słyszę od moich rozmówców z WRN – nieraz bywa burzliwy. Zwłaszcza, gdy uczestniczą w nim przedstawiciele instytucji, która była poddana kontroli. Wynikiem posiedzenia komisji są wnioski.

Ten, który dotyczy zabytków, brzmi mniej więcej tak: z uwagi na niszczenie starego miasta trzeba rozszerzyć prace rewaloryzacyjne i przeznaczyć na nie większe, niż dotąd, środki.

Wniosek komisji nie jest wprawdzie zarządzeniem, ale ten, do kogo został skierowany – powinien najdalej w ciągu miesiąca powiadomić komisję, co dalej ze sprawą.

Tym razem na wniosek o rewaloryzacji odpowiadał wicewojewoda toruński, wskazując m. in., jak można wygospodarować środki, których domagano się we wnioskach. Zaś Przedsiębiorstwo Konserwacji Zabytków złożyło szczegółowy raport o tym, jakie prace zostały rozpoczęte i jaki jest stan odnawianych obiektów.

Koniec sprawy? Nie, dopiero początek, gdyż może się ona stać przedmiotem uchwały – i tak właśnie było w przypadku zabytków.

Dziś, gdy piszemy te słowa, rewaloryzacja trwa. Niebawem kontrolę nad nią zaczną sprawować nowi radni, tworzący nowe komisje.

Spis wniosków, który przeglądam, jest pokaźny: mnóstwo spraw staje się przedmiotem dyskusji. W młodych województwach jest ich dużo więcej, niż w dawnych...

Z tego gąszczu trudno jednak wyłowić tematy, które by charakteryzowały województwo nowe. Większość, jak się zdaje, nie odbiega od krajowej przeciętnej. Ot, choćby sprawa internatów. Wnioski komisji: warunki bytu, jakie w nich panują, a także efekty wychowawcze domagają się poprawy. Trzeba lepszego wyposażenia, pomocy naukowych, lepszej pieczy nad wychowankami. Trzeba zwiększyć środki na żywienie – 20 zł dziennie na osobę to za mało. Dalej – podnosić rangę zawodu wychowawcy, sprawić, by jego przedstawiciele nie uciekali od tej pracy. Odpowiada kurator: na zakup wyposażenia itp. przeznaczono dodatkowo 3 mln zł. Wychowawcy są szkoleni, ale na ich ucieczki z zawodu trudno coś poradzić, zwłaszcza że muszą pracować także w niedziele i święta. Jeden z wniosków, domagający się oddania na internat budynku zajmowanego przez inną instytucję – załatwiony odmownie. Nie sposób na razie tego przeprowadzić.

Komisje WRN w Toruniu odbyły w minionej kadencji 268 swych posiedzeń. Najwięcej miejsca poświęcały przestrzennemu zagospodarowaniu regionu, budowie mieszkań, sieci dróg, telefonom oraz rolnictwu – a zwłaszcza rozwojowi hodowli. Były 404 kontrole. Ich efekt – to m. in. znalezienie rezerw produkcyjnych w rolnictwie, a także dodatkowej produkcji różnych zakładów i przedsiębiorstw, która została przeznaczona na lepsze zaopatrzenie lokalnego rynku. Nie brakło jednak takich wniosków, przy których w rubryce „sposób załatwienia" stoi: „odmownie". Tak było zwłaszcza z tymi, które po prostu wymagają inwestycji.

I w tym miejscu ujawnia się pewne, szczególnego rodzaju zadanie radnych. Mają oni w takich wypadkach wyjaśnić swym wyborcom, dlaczego spełnienie ich postulatów (które doprowadziły w efekcie do sformułowania tych oddalonych wniosków) – jest w obecnej sytuacji niemożliwe. A tu tymczasem wyborcy cisną: *„Okazaliśmy wam zaufanie, które zapewniło wam mandaty – no więc, załatwcie to!"*

Radni żyją zatem niejako między młotem a kowadłem. Lecz na tym właśnie polega cały sens ich działania...

T. KŁOSOWSKI
Fot. autora

ZAMIANA RÓL...

Powszechnie znane jest przysłowie, że nie ma ludzi niezastąpionych. Nie, nie podzielam zawartej w nim „mądrości", bowiem wysoko sobie cenię indywidualne talenty, ich rozum i wynikające z tego osiągnięcia. żeby nie wdawać się w zawiłe porównania, przytoczę kilka przykładów ze sportu.

Piłka nożna latami była kopciuszkiem, aż przyszedł Kazimierz Górski i wkrótce pojawiły się sukcesy. Teraz znowu ta dyscyplina sportu przynosi nam więcej zgryzot niż radości. Albo boks. Zabrakło Feliksa Stamma, boks oczywiście pozostał, ale już inny niż za jego czasów, po prostu gorszy. To wszystko wcale nie znaczy, że nie może pojawić się drugi Górski, Stamm i jeszcze paru innych zdolnych osobników. Choćby na miejsce Wagnera w siatkówce, Kevey'a w szermierce, czy Łasaka w kolarstwie.

Nikt mnie jednak nie przekona, że kowal, który na dzisiejszej wsi ma coraz mniej roboty, z powodzeniem poprowadzi warsztat szewski, a krawiec będzie również dobrym majstrem w fabryce mebli. Taka zamiana ról, w myśl wspomnianego na wstępie głupawego porzekadła, do sukcesów raczej nie prowadzi. Bardzo mi więc odpowiada drugie przysłowie, które – na szczęście – staje się coraz bardziej praktyką dnia codziennego: właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Sprowadzając problem na ziemię – jest to jednak pojęcie względne, zależy bowiem od kryteriów oceny predyspozycji człowieka. Ale jeśli już zeszliśmy na ziemię, spróbujmy przeprowadzić dowód. Oto w szkole w Ł. uznano, że pani S. doskonale nadaje się na szczepową. Argument? Dopiero po studiach i młoda, a młodym trzeba stwarzać warunki do wykazania się. I pani S. „wykazuje się" doskonałym talentem w sprowadzaniu pracy drużyn harcerskich do organizowania dyżurów w czasie przerw i powtarzania tego samego programu na różnych uroczystościach szkolnych. No cóż, pani S. studia pedagogiczne ukończyła z wyróżnieniem, uznano więc, że i z harcerstwem poradzi sobie znakomicie.

Albo inny przykład. Pan W., biolog, uczy w szkole w P. od dziesięciu lat. Doskonały w swojej specjalności i przez społeczność uczniowską lubiany. Pech chciał, że odszedł nauczyciel wychowania fizycznego, obarczono więc tymi zajęciami biologa. Kryterium oceny jego sportowych zdolności i wiedzy, jak w przypadku kowala: jest dobrym kowalem – będzie dobrym szewcem, albo i lepszym. Niestety, ta zamiana ról sztuce szkodzi, a nie podnosi jej wartości i nie wróży sukcesu. Jest to po prostu średniowieczna alchemia, która nigdy nie stworzyła złota...

Ale tę alchemię stosuje się w wielu szkołach. Basia jest wzorową uczennicą, ona więc nadaje się do wszystkich niemal ról w szkole: wita gości, przemawia na szkolnych uroczystościach, reprezentuje szkołę poza jej murami, jest przewodniczącą samorządu i jeszcze tam kimś. Natomiast Kasia jest „specjalistką" od wizyt w urzędach z okazji składania rocznicowych i imieninowych życzeń, Władek przewodniczy szkolnemu klubowi sportowemu z tej przyczyny, że jego ojciec jest prezesem jakiejś spółdzielni, a Wanda sprawuje funkcję przybocznej, bo jej mama była kiedyś harcerką.

Jestem daleki od twierdzenia, że we wszystkich szkołach rządzą podobne kryteria doboru tzw. aktywu. Ale takich przypadków jest, niestety, wiele. Przypadków, kiedy to kilkoro uczniów uznano za jedynie utalentowanych, wszystko umiejących. Przewodniczą więc, organizują, przemawiają, wręczają, witają, na przerwach pilnują innych i... nie mają z tego satysfakcji. Dlaczego? Bo wiedzą, że inni na ich miejscu w wielu sprawach byliby lepsi, zrobiliby więcej i lepiej. Ale nie ma już na to rady, bowiem uznano ich za najbardziej pasujących do tych ról.

Nie ma rady? Jest, tylko trzeba po prostu tworzyć warunki dla ujawniania się indywidualności, których w każdej szkole nie brak. A to już zadanie harcerstwa, samorządu uczniowskiego, a przede wszystkim wychowawców, którzy często na własnym przykładzie doświadczają negatywnych skutków grania cudzych ról...

RYSZARD RATAJCZYK

Z historii harcerskiego sportu

Z PARZENICĄ NA PIERSIACH

Był rok 1947. Drużynowy zakopiańskiej 4 DH na Bystrem, 18-letni wówczas Stefan Dziedzic, po raz pierwszy wybierał się za granicę na Akademickie Mistrzostwa Świata w Davos (Szwajcaria). W Harcerskim Klubie Narciarskim ze sprzętem było jednak krucho. Zresztą, jak w wielu ówczesnych klubach. Działacze i koledzy klubowi z własnych składek kupili mu buty skokowe, ale na biegowe już nie starczyło.

Miał druh Stefan stare buty, ale jeden z naszytą łatą, a drugi z pękniętą podeszwą. W podartych butach wstyd się pokazać na starcie tak poważnej imprezy. Udał się więc po radę do szewca **Bijaka** na Bystrem, wielkiego entuzjasty narciarstwa. Mistrz Bijak naprawił podeszwę i przyszył łatę na drugim bucie. „Z łatą na jednym bucie jechać w daleki świat nie uchodzi – zawyrokował. – Z łatami na obu butach to co innego, to fason!"

W sztafecie 4×10 km Polacy zdobyli złoty medal, do czego walnie przyczynił się Stefan Dziedzic. A on sam w kombinacji norweskiej wywalczył srebrny medal i tytuł wicemistrza świata.

Sukcesy reprezentantów Polski, w której sport po zniszczeniach wojennych dopiero odżywał, były nie lada sensacją. Sensacją stały się też połatane buciki druha Stefana. Jeden z francuskich fotoreporterów wyeksponował je na zdjęciach w przekonaniu, że Polak lansuje nowy model narciarskiego obuwia. W kronice zakopiańskiego HKN nazwisko szewca Bijaka zapisano obok nazwiska akademickiego mistrza świata.

Stefan Dziedzic, jeden z najwszechstronniejszych zawodników w historii polskiego narciarstwa. Obecnie dyrektor zakopiańskiego „Juventuru".

Do najlepszych zawodniczek HKN, a później AZS Zakopane, należała Anna Kubic-Gogólska. Dwukrotnie startowała w narciarskich mistrzostwach świata.

Harcerski Klub Narciarski od wielu już lat nie istnieje, został bowiem rozwiązany w 1949 roku. A właściwie stał się najpierw zakopiańskim oddziałem krakowskiego AZS, a później samodzielnym Klubem AZS Zakopane. Od tego też roku harcerscy sportowcy startowali już w barwach nowego klubu.

Czas nieubłaganie zrywa kartki z kalendarza. Miejsce HKN-ów na narciarskich trasach zajęły nowe generacje sportowej młodzieży. Ale wielu byłych członków tego klubu do dziś pozostało wiernymi swojej sportowej pasji. Można ich spotkać w sportowych klubach nie tylko w stolicy Tatr. Sprawują tam funkcje działaczy i trenerów. Jak dawniej pełni zapału, humoru i ofiarni.

Jednym z nich jest były zastępca komendanta zakopiańskiego hufca – **Władysław Walkosz.** Już w roku 1936 był gospodarzem, a następnie skarbnikiem HKN. W roku 1945 wybrany został wiceprezesem klubu. Funkcję tę pełnił również po włączeniu HKN do AZS. Z druhem Władysławem, prezesem Klubu AZS Zakopane i wieloletnim sędzią Międzynarodowej Federacji Narciarskiej (FIS), spotkałem się w skromnym lokalu klubu.

Andrzej Gąsienica Roj, poza narciarstwem, wyżywał się w sporcie motocyklowym. Brał udział w rajdach i crossach na terenie całej Europy. Dziś kierownik wyszkolenia sportowego Polskiego Związku Narciarskiego

Fot. **archiwum**

– O dziejach HKN przed wojną zbyt długo trzeba by mówić. Były to czasy trudne. Nie mieliśmy sprzętu ani pieniędzy. Tylko zapału i humoru nam nie brakowało. Sama tylko narciarska sekcja liczyła ponad stu członków, a desek mieliśmy w magazynku zaledwie kilkanaście par. Większość członków klubu jeździła więc na własnych nartach, bo na otrzymanych z wytwórni nart i Głównej Kwatery Harcerzy startowali tylko ci najlepsi z najlepszych. Fundusze na sprzęt i działalność czerpaliśmy z własnych składek. Było więc tego tyle, co na opłacenie przejazdów zawodników na zawody. I to nie zawsze, bo często płacili za bilety sami.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

RYSZARD RATAJCZYK

Zimą w... kajaku

Zimowa turystyka kajakowa staje się coraz popularniejsza. Okazuje się, że bardziej zimno jest oglądającym „śmiałków" niż samym kajakarzom. Ciepła odzież, gorąca herbata w termosie i ruch robią swoje, a zimowa sceneria dodaje uroku. Atrakcji jest mnóstwo; każda załoga ma młotek, który służy do obstukiwania wioseł i burt kajaka z lodu. Nawet wywrotka do rzeki, w której płynie kra, nie jest taka straszna, każdy posiada przecież zapasową odzież oraz – obowiązkowo! – musi być w kamizelce ratunkowej.

Zimowy Międzynarodowy Spływ Kajakowy na Brdzie odbył się już po raz piętnasty. Tylko tej zimy Brdą popłynęły cztery spływy. Płynęli pracownicy zakładów przemysłowych, turyści PTTK, studenci. A może popłyną również harcerze?

Fot. **ZBIGNIEW BISANZ**

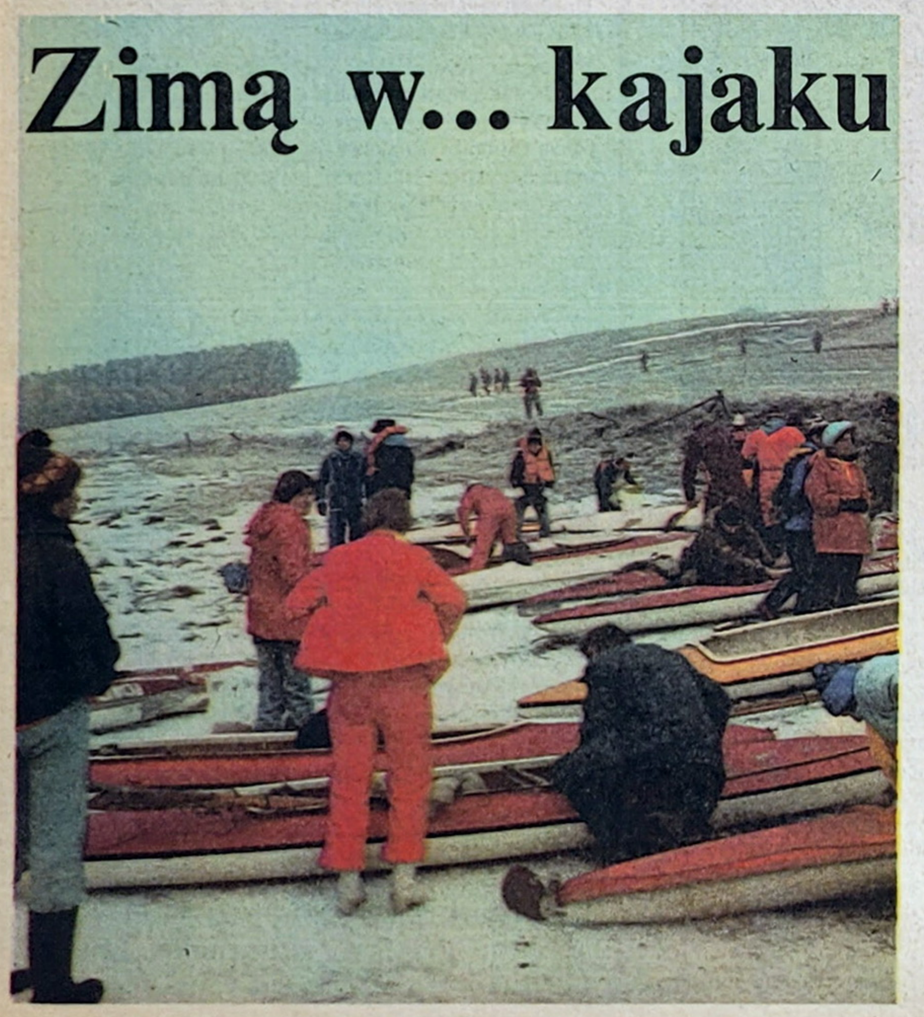

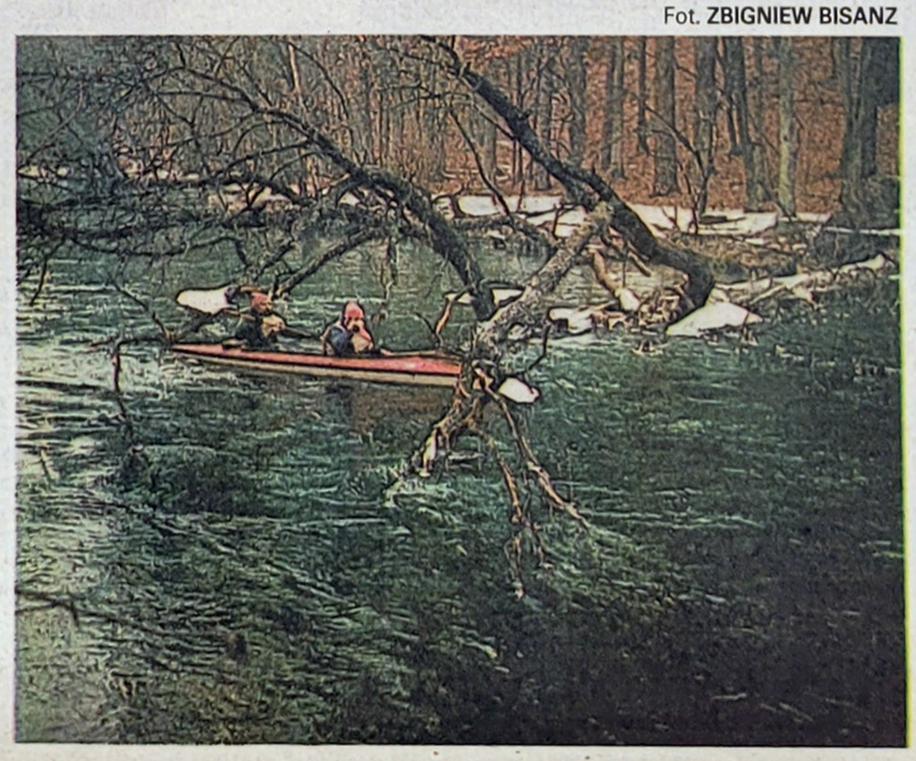

CZTEREJ TACY SOBIE czyli HISTORIA DZIESIĘCIOZŁOTÓWKI

Pierwsze spotkanie z Luisem i jego chłopakami przeżyłem ze cztery lata temu. Przejeżdżałem właśnie wąską uliczką miasteczka. Nagle samochodem rzuciło, rozległ się huk i koło twardo potoczyło się po bruku.

– Do diabła – pomyślałem – guma!

Spieszyłem się jak diabli. Wygramoliłem się z fotela, otworzyłem bagażnik, wyjąłem klucz i lewarek. Wtedy zza rogu wyłonili się oni. Było ich czterech. Najstarszy drągal mógł mieć trzynaście lat. Najmłodszy, okrągły na twarzy jak pyza, z dziewięć.

– Co strzeliło? – wyrośnięty trzymał ręce w kieszeni.

– Tu co raz ktoś łapie gumę – pyzaty umilkł skarcony spojrzeniem wyrośniętego.

Włożyłem lewarek i podkręciłem, aż przednie koło oderwało się od ziemi. Potem kluczem odkręciłem śruby. Kiedy już miałem odkręcić zapas spostrzegłem, że klucza nie ma.

– Nie ma pan kluca – inteligentnie zauważył pyzaty.

– Miałem – zaczynałem się denerwować. Tych czterech grało ze mną w kotka i myszkę. Musieli mi ten klucz świsnąć, kiedy schyliłem się do bagażnika po koło.

– Panowie – zacząłem – oddajcie ten klucz.

– Widzis – pyzaty zwrócił się do dryblasa – gubi kluc, a potem człowieka się cepia – wyseplenił.

– Nie widzisz, Bulwieć, że trzeba człowiekowi pomóc – wyrośnięty splunął przez zęby.

– To by kostowało. Nie, Luis? – mały uśmiechnął się ukazując solidną szparę w zębach. Wyrośnięty skrzywił się aprobująco.

– Dobra, ile? Dycha starczy?

Byłem już wściekły. Targi z czterema wyrostkami trwały ze dwadzieścia minut. Położyłem dziesięciozłotówkę na masce samochodu.

– A teraz klucz!

– Lezy z tyłu za kołem – Bulwieć wskazał palcem.

Kiedy podniosłem klucz, nie było już ani dychy, ani chłopaków Luisa. Wcięło ich gdzieś w przydomowe ogródki.

Na następne spotkanie z Luisem i jego chłopakami przyszło mi czekać prawie dwa lata...

Wieczorem zadzwonił telefon. Chłopak przedstawił się, że jest drużynowym wodniaków, że właśnie wybierają się na rejs na Mazury. Ten, co miał z nimi pływać, nagle zachorował, i w Hufcu powiedzieli, że może druh da się namówić.

– Dobra – powiedziałem – mam akurat dwa tygodnie wolne.

Umówiliśmy się na dworcu kolejowym. Ale ten głos nie dawał mi spokoju.

To byli oni. Luis, Bulwieć i jeszcze dwóch, których przezwiska miałem dopiero poznać. Zobaczyli mnie od razu. Stuknęli się łokciami, ale wcale nie speszony Luis przepisowo zameldował drużynę, stan..., gotową do... itd.

Pociąg nie był przepełniony. Chłopcy rozlokowali się w wagonie. Luis tak sprytnie porozmieszczał chłopaków, że jechałem w przedziale sam. Przysypiałem już prawie, gdy drzwi rozsunęły się i stanął w nich Luis z chłopakami.

– Druh śpi – zerknął na mnie niepewnie.

– Coś się stało? – otworzyłem oczy.

– My tego, chcieliśmy, yym...

– Pewnie dychę? No właśnie.

Nie wiedzieli od czego zacząć. Ja też milczałem.

– My, już tego, teraz harcerze – Bulwieć już nie seplenił.

– No, widzę, i co?

– A to, że my już gwoździ po ulicy nie rozsypujemy.

A łotry, pomyślałem, więc padłem wtedy nie ofiarą przypadku, oni dobrze wiedzieli, że złapię tę gumę. Uśmiechnąłem się w myślach. Mimo wszystko podobali mi się. Nawet nie wiem czemu, może dlatego, że przez dwa lata złość ze mnie wyparowała, a może dlatego, że byli teraz moją załogą.

Mieszkali obok siebie. Luis najstarszy, Bulwieć, Andos i Dzidek. Na początku łazili oddzielnie i potężnie się nudzili. Bo co można było robić. Pograć w piłkę. Gdzie? Żadnego boiska, ani nawet większego podwórka. Kino dobre od czasu do czasu.

CIĄG DALSZY NA STR. 4

REPORTER Świata Młodych

Aby można było uścisnąć sobie dłonie...

Od czasu zakończenia drugiej wojny światowej państwa kapitalistyczne, w szczególności Stany Zjednoczone i Republika Federalna Niemiec, dążą do wyścigu zbrojeń, aby z pozycji siły dyktować swe „prawa" innym krajom świata, przede wszystkim krajom obozu socjalistycznego. Pomimo zmniejszenia napięcia w stosunkach między Wschodem a Zachodem w pewnych okresach, dzisiaj sytuacja międzynarodowa jest znowu bardzo napięta. „Zawdzięczamy" to działalności USA, dążących do podporządkowania swym interesom innych krajów świata.

Miliardy wydawane na zbrojenia czy też systemy obrony potrzebne są ludziom pracy dla pokojowych celów, dla celów samozachowania naszego globu i gatunku ludzkiego, walki z zanieczyszczeniem środowiska, z głodem, chorobami...

Liczę na młodzież wszystkich krajów świata. Wierzę, że współczesne młode pokolenie potrafi w dużo większym stopniu niż poprzednie generacje, myśleć kategoriami ogólnymi i niezależnymi. Stało się dla nas oczywiste, że myślenie kategoriami lokalnymi, czy nawet narodowymi, nie rozwiąże żadnego z ważnych współczesnych problemów, że niemożliwością jest rozwój jakiegokolwiek kraju bez współpracy z innymi.

Musimy jak najszybciej zdać sobie sprawę z tego, że mieszkamy na jednej planecie i że mój problem prędzej czy później stanie się problemem mojego sąsiada, niezależnie od tego, czy jest on moim przyjacielem, czy wrogiem.

Uważam, że ludzie muszą się poznać i cenić, jeżeli podstawą stosunków międzynarodowych ma stać się przyjaźń, a nie nieufność. Wierzę w przyszłość, w której każdy człowiek i każdy kraj, bez względu na różnice rasowe, religijne, polityczne i inne, znajdą swą własną drogę rozwoju, w której zapanuje pokój możliwy tylko w warunkach wzajemnego poszanowania.

Nie można przecież uścisnąć sobie rąk, jeśli trzymają one broń...

MAREK FORNAL
Ostrowiec Św.

Zapomniane stolice Cejlonu

CHŁOPIEC Z RUIN ANNURADHAPURA

▲ *Wejście do świątyni Isurumuniya*

Platforma, na której stoi świątynia wspiera się na kilkuset podporach wyrzeźbionych w kształcie głowy słonia ▼

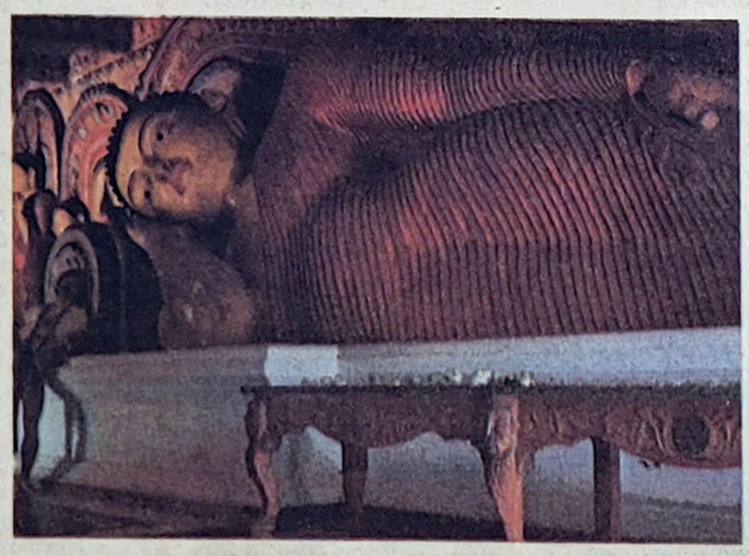

◄ *Posąg leżącego Buddy*

Annuradhapura teraz – zamarła w kamieniu, najstarsze i największe z byłych miast królewskich Cejlonu. Począwszy od III wieku p.n.e. prawie przez trzynaście stuleci była siedzibą władzy monarszej, centrum buddyzmu, nauki i sztuki. Przypuszcza się, że protoplastą Annuradhapury, jej ojcem, był Annuradha, który przybył na wyspę z Indii Południowych. Przez wiele wieków kolejni królowie Cejlonu budowali miasto, niszczyły je inwazje z subkontynentu indyjskiego, wojny domowe. W mury stolicy wdzierała się zachłanna dżungla, ale znów pojawiali się ludzie, wydzierali jej ziemię, wznosili wspaniałe budowle. Powstawały słynne dzieła architektów i rzeźby, rozwinięta była sztuka inżynierii wodnej, której efekty możemy podziwiać do dzisiaj – współczesnemu miastu stare tamy i zapory dostarczają wody, świadcząc o doskonałości rzemiosła budowniczych.

Do naszych czasów przetrwało niewiele ze starej architektury Annuradhapury. Po wiekach rozkwitu, w IX stuleciu miasto na dobre pochłonęła dżungla. I dopiero kilkadziesiąt lat temu ludzie ponownie zmierzyli się z tropikalnym żywiołem odsłaniając tysiącletnie zabytki, osnute legendą dzieła kultury materialnej.

Jednym z najstarszych zabytków miasta jest świątynia Isurumuniya zbudowana w IV wieku p.n.e. przez króla Deveniampiya Tissa. Jej ostatnimi mieszkańcami nie byli jednak bogowie – gdy ruiny obdzierano z puszczy znaleziono w świątyni legowisko z młodymi panterami. Świątynia wykuta jest w skale wyrastającej z zielonej równiny; sale i wnęki położone na różnych poziomach łączą schody oplatające skałę, przebijające się przez nią galeryjkami. Na ołtarzu posąg medytującego Buddy zapatrzonego w dal od przeszło dwu tysięcy lat. Z twarzy promieniuje łagodność i spokój. Dawniej posągi były złocone, teraz pokrywa się je czerwoną lub pomarańczową farbą. Architekturę świątyni urozmaica basen obrzeżony ciosanymi kamieniami. W niezbyt przejrzystej wodzie pływają ryby i żółwie dokarmiane przez licznie ściągających tu pielgrzymów. Wzrok przyciągają rzeźby. Pełne dynamiki, ruchu i życia kąpiące się słonie. Nad nimi, jakby pilnujący ich posąg, siedzącego chłopca. Sylwetka naturalnej wielkości, swobodna pozycja, twarz skupiona, o grubych negroidalnych rysach. Dziwne nakrycie głowy i ogromne kółko w uchu sugerują, że jest to niewolnik przywieziony z Afryki.

Inna świątynia Annuradhapury cieszy się u wiernych czcią i poważaniem, gdyż na jej terenie rośnie święte drzewo Buddy – „Bo". Tradycja głosi, że w III wieku p.n.e. z dalekiego miasta Bodhgaja położonego w północnych Indiach przywieziono gałązkę świętego drzewa, pod którym książę z rodu Siakjów został oświecony i stał się Buddą nieśmiertelnym. Dwa tysiące lat minęło od tego czasu, a gałązka rozrosła się w drzewo otoczone nimbem świętości. Otoczono je ołtarzem, pielgrzymi składają na nim kwiaty, a na konarach wieszają barwne chorągiewki.

Ponad miastem wyrastają gigantyczne kopuły buddyjskich dagob. Majestatyczne budowle są najświętszymi zabytkami buddyzmu. Otoczone czcią, służą jako miejsce przechowywania relikwi Buddy i jego uczniów. Bywają dagoby dorównujące wysokością egipskim piramidom, a z użytego na taką budowlę materiału można by zbudować dużą osadę. W Annuradhapurze wyróżnia się odrestaurowana, bijąca z dala bielą dagoba Ruwanveliseya. Zbudowana przez króla Dutthagamani w II wieku p.n.e. przytłacza swą wysokością (103 m), równa trzydziestopiętrowemu nowoczesnemu budynkowi. Podtrzymuje ją platforma wsparta fundamentami sięgającymi głębokości trzydziestu metrów. Z Mirisavatiya, dagobą, wyglądającą jak zarośnięty roślinnością kopiec ziemi, związana jest stara legenda. W I wieku n.e. Cejlon podzielony był między kilku władców, panujących w samodzielnych królestwach. Król Dutthagamani pragnąc władać całą wyspą wypowiedział wojnę królowi Elara, władcy Tamilów. Początkowo szczęście sprzyjało Tamilom, ale po śmierci ich naczelnego wodza, Dutthagamani widząc pierzchającego nieprzyjaciela postanowił stoczyć pojedynek z królem Elara. Dosiadłszy ulubionego słonia, dogonił przeciwnika. W zaciętej walce – Elara zginął, a zwycięzca chcąc uczcić odwagę wroga pochował jego popioły pod dagobą i nakazał po wsze czasy oddawać cześć pamięci bohatera. Nawet książęta obowiązani byli uciszać muzykę nadworną, gdy tędy przechodzili. Tradycja przetrwała do dziś. Ludzie przechodząc obok niepozornego kopca ziemi zachowują spokój i zadumę, szanując rozkaz dawnego władcy.

Z istniejących dawniej w Annuradhapurze pałaców, pawilonów królewskich, teatru, świątyń, klasztorów pozostały tylko ruiny. Gdzieniegdzie wyłaniają się z ziemi schody zdobione rzeźbami, podmurowania, szeregi słupów granitowych, stawy, baseny. Aż trudno uwierzyć, że w miejscu, gdzie obecnie znajduje się rumowisko niepozornych słupów, kiedyś stał wspaniały pałac. Dziewięćset pokoi, po sto na każdym piętrze, przeznaczone było głównie na mieszkania kapłanów. Pałac posiadał bibliotekę, sale kąpielowe urządzone z wielkim przepychem. Pokoje wykładane były srebrem i drogimi kamieniami. Użyto tak wiele kosztownego mosiądzu, że pałac przyjął nazwę Mosiężny. Najwspanialsza była sala tronowa, w której stał tron z kości słoniowej wyłożony kryształem górskim. Zadziwiające jest nie tylko bogactwo tego pałacu, jakby wyjętego z baśni „Tysiąca i jednej nocy". Zbudowanie na początku I wieku n.e. tak olbrzymiej budowli świadczy o doskonale rozwiniętej architekturze i technice budowlanej tej epoki.

BARBARA WIKTOROWICZ

Fot. **autorki**

CZTEREJ TACY SOBIE czyli HISTORIA DZIESIĘCIOZŁOTÓWKI

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

W szkole też nudy. Było wprawdzie boisko, ale opanowane przez tych z ósmej i tylko jednego Andosa wpuszczali na bramkę. Ale jak puścił gola, to Julas, szef drużyny, dawał mu przytczka w ucho aż puchło. Więc rzadko na tej bramce stawał.

Pierwszy związał się z Luisem Bulwieć. Wybrał się do ogródków działkowych na pomidory.

– Akurat dojrzewały – na myśl o tych „klajdorcach" Bulwieciowi oczy zachodzą mgłą rozmarzenia. Nadział się szpetnie. Ledwie wepchnął kilka za pazuchę, a tu słychać:

– Czekaj, pętaku, już ja cię złapię.

Nawet nie patrzył, kto to krzyczy, tylko od razu w nogi. I byłby go ten głos złapał, bo był coraz bliżej, gdyby nagle nie usłyszał – „właź tu prędzej". Rozchyliły się krzaki malin, w których ukazała się głowa Luisa i wąziutkie przejście.

– Frajerze, ślepy jesteś czy co! Facet był w altance. Już pół godziny czekam aż sobie pójdzie. Zepsułeś wszystko ty, ty Bulwieciu jeden.

Byli więc już Luis i pyzaty Bulwieć. Odtąd chodzili razem na ogródkowe wypady.

Potem dołączył Andos. Zastawiał sidła i łapał szczygły. Potem sprzedawał w sklepach zoologicznych. Po zecie za sztukę.

Te szczygły łapali przez całą wiosnę. Dopiero jak na nich złapał namiar dzielnicowy, przerzucili się na gołębie. Ze szczygła trudno się wytłumaczyć. A gołębie można przecież hodować. Nie, oni nie hodowali. Andos skonstruował siatkę automat. Sypali ziarno, a potem jak się już nazlatywało gołębi, wystarczyło pociągnąć za sznurek i pac. Za gołębie dostawali po piątce na rynku.

Dzidek był wynalazcą. Majstrował strzelające machiny, łuki, potem kusze, strzelby na haczyki i najnowszy krzyk techniki – samopał. Zginało się rurkę z jednego końca, wierciło otworek, do środka sypało siarkę z zapałek i gwoździki. Huk był i gwoździki furkocząc leciały kilkanaście metrów. Zabawa skończyła się, gdy rurka któregoś dnia wystrzeliła nie z tego końca co potrzeba i Dzidek trafił na okulistykę.

Pewnie wymyślaliby różne rzeczy dalej. Mądre i mniej mądre, gdyby nie było pewnej soboty.

Wymyślili, że jak ktoś stanie na zaznaczonej kredą płycie chodnika, to płaci zeta. Najpierw napatoczył się pętak z czwartej. Niepotrzebnie nadepnął na ten znak, więc go otoczyli i zet był, potem jeszcze ktoś i jeszcze. Wreszcie patrzą, idzie niski blondynek, w harcerskim mundurku. Też nadepnął.

– Zeta dawaj.

– Koledzy w jakiej sprawie? – spytał grzecznie. Zmyliła ich tą jego układność i starannie uczesane włosy, no i mundurek.

– Stanąłeś na kresce. Dawaj – Luis wyjął ręce z kieszeni.

– Koledzy, to bezprawie – zaczął.

Luis wymierzył sierpowy. I... już leżał na ziemi. Po chwili Bulwieć mu towarzyszył.

– Ty, gdzieś się tego nauczył?

– W harcerstwie, cześć!

Poszli do tego harcerstwa nauczyć się tych chwyto... I zostali. W drużynie żeglarskiej. Chłopaki wybrali Luisa zastępowym, a po roku był już drużynowym. Miał jak się to mówi smykałkę. Chłopaki go słuchali i pomysły miał dobre. No, w tych pomysłach pomagali mu jak zwykle Bulwieć, Andos i Dzidek. Wymyślili, że na miesiąc wakacji pojadą plewić szkółkę leśną, a potem na rejs, bo podobno to w tym żeglarstwie można...

– Chłopaki, wysiadamy – przerwałem – Giżycko!

– Druhu, weźmie druh tę dychę z powrotem?

Wziąłem. W ostatnim dniu rejsu. Nie mogłem nie wziąć. To już nie byli czterej tacy sobie.

KRZYSZTOF NIEDŹWIECKI

ARCHEOLOGIA PODWODNA

„SOLEN" odsłania tajemnicę

Szwedzki król, Gustaw II Adolf, zamierzając uderzyć na Polskę rozważał możliwość opanowania Gdańska. Jego flotylla okrętów blokowała Port Gdański. W tym samym czasie Polska Komisja Okrętów Królewskich, powołana przez Zygmunta III, podjęła decyzję przełamania blokady. Twierdzę w Wisłoujściu opuściło 10 polskich okrętów wyposażonych w 170 dział, gotowych bronić swego wybrzeża. Wśród nich znajdował się okręt wojenny „Wodnik".

Dnia 28 listopada 1627 roku 3 mile od brzegu, na wysokości Oliwy, doszło do słynnej bitwy morskiej. Dzięki trafnej decyzji dowódcy oraz odwadze załogi, „Wodnikowi" udało się opanować jeden z okrętów przeciwnika. Ale jednak na krótko. Wskutek wybuchu prochu szwedzki okręt zatonął. Był nim „Solen". Przez 3 i pół wieku wrak „Solena" spoczywał na głębokości 15 metrów, niszczony przez czas, sztormy, kotwice i śruby przepływających nad nim statków.

Wreszcie w październiku 1969 roku, w czasie prac przygotowawczych do budowy Portu Północnego, natrafił na wrak statek Polskiego Ratownictwa Okrętowego „Bryza". O znalezisku powiadomione zostało Centralne Muzeum Morskie w Gdańsku.

I tak jak przed laty, znów na spotkanie „Solena" wyrusza „Wodnik". Jest nim tym razem flagowy statek Muzeum. Zamiast armat, wyposażony jest w ežektory i pompy do odmulania, sprężarki, butle ciśnieniowe, sprzęt nurkowy. Na pokładzie znajduje się ekipa płetwonurków: kierownik naukowy – archeolog Andrzej Bojarowski, kierownik techniczny badań, fotograf i rysownik Leszek Nowicz oraz Ryszard Suchodolski i Zbigniew Jarocki.

Lokalizacja „Solena" oznacza początek ery niezwykle ciekawych badań archeologicznych. Od roku 1970 zaczyna się żmudna eksploatacja wraku. Z zatopionego okrętu trzeba usunąć setki ton piasku, mułu, kamieni, muszli. Pierwszymi trofeami historycznymi są lufy armatnie. Jedno z dział na swej smukłej lufie nosi napis: „Sigismundus Augustus Rex Poloniae et Lituaniae, Prusiae, Masoviae – 1560" oraz herb Królestwa Polskiego. A więc polskie działo z czasów Zygmunta Augusta. Łącznie wydobyto 16 dział szwedzkich, 2 polskie i 2 ruskie. Przypuszcza się, że polskie działa na pokładzie szwedzkiego okrętu stanowiły zdobycz wojenną.

Historia wojen polsko-szwedzkich toczonych od 1567 roku dostarczyła niejednej okazji do „wymiany" uzbrojenia.

Dzięki wprost benedyktyńskiej dziesięcioletniej pracy archeologów – płetwonurków i załogi „Wodnika" odkryto wiele fascynujących przedmiotów. Zabytki związane z uzbrojeniem okrętu to kilkaset kul armatnich o różnej średnicy, granaty, pociski do niszczenia ożaglowania, pociski zapalające, wózki działowe, różki prochowe oprawne w skórę, lufy i kolby muszkietowe, fragmenty broni białej. Znaleziono też znaczną liczbę monet, głównie klipów o charakterystycznym czworokątnym kształcie: bite były w mennicach Gustawa Adolfa i jego poprzednika Karola IX. Służyły głównie do opłacania załóg. Do chwili obecnej wydobyto ponad 3 tysiące zabytków.

W ubiegłym roku odsłonięto jeden z ciekawszych elementów konstrukcji okrętowej. Był nim pachoł do obciągania fałów rei, zdobiony na końcu głową brodatego mężczyzny w hełmie o kształcie paszczy lwa. Obiekt ten zachował się w doskonałym stanie.

Pod wrakiem natrafiono na szkielety marynarzy. Przypuszcza się, że podczas bitwy na tym okręcie mogło przebywać około 80 osób załogi stałej i 120 żołnierzy piechoty morskiej. Wielu z nich znalazło tu swój grób.

Odsłonięte zostało całe drewniane poszycie okrętu. Dziób „Solena" nosi ślady potężnego wybuchu prochu. Część rufy i śródokręcia jest lepiej zachowana. Ze względu na brak możliwości własnej konstrukcji „Solen" nie będzie wydobywany na powierzchnię. Dzięki zastosowaniu fotogrametrii podwodnej wrak zostanie dokładnie pomierzony. Przypuszcza się, że zdjęcia pozwolą na stworzenie kopii „Solena", oczywiście w zmniejszonych proporcjach.

Przewiduje się uniesienie wraku i przeholowanie go w inne bezpiecze miejsce poza obręb kotwicowiska i toru podejściowego do Portu Gdańskiego.

Znaczna część przedmiotów wydobytych z okrętu znajdzie się w nowych salach Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku.

A na archeologów – płetwonurków w samej tylko Zatoce Gdańskiej czeka jeszcze kilkadziesiąt innych wraków.

Tekst i fot.
MICHAŁ WOŹNIEWSKI
Rys. **E. Koczorowski**

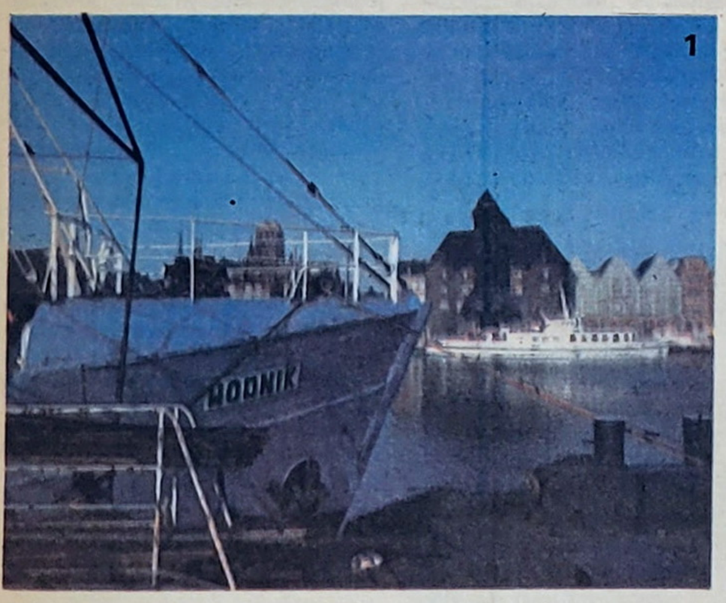

1. „Wodnik", flagowy statek Muzeum Morskiego, wyrusza na spotkanie z „Solenem"

2. Fragmenty konstrukcji wraku

3. Wśród różnorodnych przedmiotów natrafiono pod wrakiem na szkielety załogi

EKRAN

„12 prac Asterixa"

ASTERIX – główny bohater filmowych wydarzeń. Mały wojownik ma wdzięk i żywą inteligencję, które to cechy pozwalają mu wychodzić cało z najtrudniejszych nawet misji.

OBELIX – jego przyjaciel. W dzieciństwie wpadł do kotła z magicznym płynem i od tej chwili cechuje go nadludzka siła. Jest zawsze głodny (najchętniej jada pieczeń z dzika) i jest oczywiście nadludzko odważny.

PANORAMIX – jest kapłanem w osadzie Galów. To on dawkuje wszystkim swój magiczny napój, dzięki któremu mogą się oprzeć nawet potędze Juliusza Cezara.

ASSURANCETOURIX – miejscowy trubadur. Każde istotne wydarzenie w życiu mieszkańców osady potrafi uczcić stosowną pieśnią, ale... nie wszyscy chcą przyjąć do wiadomości, że ma talent, warty dumy z jaką go ohnosi.

ABRARACOURCIX – jest wodzem plemienia. Majestatyczny, dzielny, stary wojownik jest ogólnie bardzo poważany. Dostojeństwo nie pozwala mu w sytuacjach oficjalnych występować bez „wywyższenia".

Jest to już trzeci film o słynnym Asterixie – bohaterze słynnych w świecie komiksów René Gościnnego, ale pierwszy pełnometrażowy, który powstał we Francji w nowej wytwórni Studios Idéfix. Poprzednie: „Galijczyk Asterix" i „Asterix i Kleopatra" były zrealizowane w koprodukcji francusko-belgijskiej i nie wyświetlano ich na polskich ekranach.

René Gościnnego znają nie tylko amatorzy komiksowych opowieści, które były tłumaczone aż na 22 języki, ale i kinomani starsi i młodsi, dzięki poprzedniemu jego filmowi pt. „Dzielny szeryf Lucky Luke".

Podobnie jak postać Lucky Luke'a trzeba uznać za satyryczne uosobienie cech, jakie w tysiącach westernów charakteryzowały ich bohaterów – amerykańskich cowboyów, tak Asterix jest ucieleśnieniem wyobrażeń większości Francuzów na swój własny temat, jak to i u innych zresztą narodów bywa – dość megalomańskich. Jest to więc człowieczek z pozoru niepokaźny, ale w swej małej osobie mieści niezmąconą pewność siebie, ognisty temperament, spryt, zdrowy rozsądek, upodobanie do wygód i przyjemności. Liczy się dla niego przede wszystkim suto zastawiony stół i niezależność. Wszystkie wątpliwe zalety charakterów galijskich bohaterów budzą pełen pobłażania uśmiech, a sprawia to ich przyrodzony wdzięk.

Na takich cechach opierają się wszystkie filmowo-komiksowe gagi, no i oczywiście na działaniu magicznego napoju produkowanego przez galijskiego kapłana Panoramixa.

W 50 roku przed naszą erą Galia została podbita przez rzymską potęgę. Na czele wojsk stał Juliusz Cezar. Jedna tylko wioska oparła się najeźdźcom. Cezar nie wiedząc, że sił Galom dodaje magiczny napój – posądził ich o boskie pochodzenie. By się upewnić w swym przekonaniu, stawia im ultimatum. Jeśli spełnią na wzór półboga Herkulesa dwanaście niewykonalnych dla śmiertelnika prac – Rzym uzna ich wyższość. Zadania tego podejmują się: od urodzenia nadludzko silny Obelix i spryciarz Asterix. Z wszystkich prób bohaterowie wychodzą zwycięsko, choć ich metodom daleko do boskości. Potężny Rzym korzy się przed garstką niechlujnych Galów.

Oczywiście nie owa absurdalna fabułka jest ważna w komiksie, gatunku, gdzie wszystko jest możliwe, ale satyryczne, z odniesieniami do współczesności obrazki (np. metoda pokonania machiny biurokratycznej) oraz precyzja rysunku i animacji. Szata plastyczna filmu jest świetna, animacja postaci bez zarzutu. Szkoda tylko, że poza dwójką głównych bohaterów, wszystkie postacie pokazane są w sytuacjach charakteryzujących je bardzo powierzchownie; Brutus, Cezar, Centaurion mogliby z powodzeniem być kopalnią wspaniałych gagów. Bez tego film obraca się wciąż wokół jednego – wokół zachwytu nad franko-galijską doskonałością.

Mimo tych mankamentów film zapewnia dwie godziny dobrej zabawy naprawdę „bez ograniczeń" wieku.

Jeszcze słów parę przypomnienia o zmarłym w 1977 roku René Gościnnym.

Karierę swą rozpoczął jako rysownik reklam, a następnie ilustrator książek dla dzieci. Był też pisarzem, scenarzystą i autorem komiksów. Jego książki były tłumaczone na kilkanaście języków (w 1964 roku „Nasza Księgarnia" wydała jego „Rekreacje Mikołajka"). Był też założycielem i wydawcą pisma „Pilote". Swoje najsłynniejsze komiksy o Asterixie i o Lucky Lake'u tworzył współpracując ze świetnymi rysownikami: w pierwszym wypadku z Albertem Uderzo, a w drugim z Belgiem – Morrisem. Jego współpracownikiem w filmie był reżyser Pierre Tchernia.

EWA BIELSKA

ŚWIAT NA DWÓCH KÓŁKACH

Yamaha RD 50

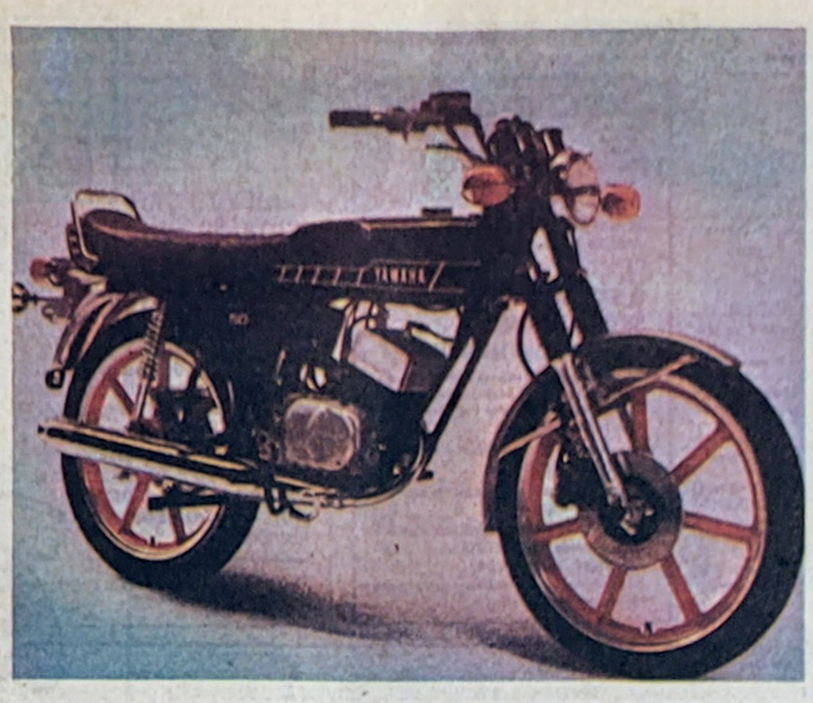

Wytwarzany jest przez japońską fabrykę motocykli Yamaha Motor Co. Ltd. posiadającą swe oddziały produkcyjne w miejscowościach Nakajo, Hamakita-shi, Shizuoka-ken.

Pojazd ten nie jest właściwie motocyklem, a motorowerem, chociaż osiągane parametry eksploatacyjne przemawiają za tym, by zaliczyć go już do klasy motocykli.

Jest on wyposażony w jednocylindrowy silnik napędowy o dwusuwowym systemie pracy. Jego pojemność robocza wynosi 49 cm sześc., moc 4,6 kW (6,26 KM) przy stopniu sprężania 6,4 i 8325 obr/min. Zasilanie w paliwo następuje za pośrednictwem gaźnika marki Mikuni posiadającego średnicę gardzieli 20 mm i centralną komorę pływakową. Smarowanie silnika odbywa się olejem umieszczonym w oddzielnym zbiorniku i dozowanym specjalnym mechanizmem. Instalacja elektryczna jest 6-voltowa, w skład jej wchodzi również akumulator o pojemności 4 amperogodzin.

Obroty od silnika przenoszone są na tylne koło za pośrednictwem pięcioprzekładniowej skrzyni biegów, napęd przenoszony jest przy pomocy łańcucha. Przednie koło zawieszone jest na widelcu posiadającym hydrauliczne teleskopowe amortyzatory, tylne na wahaczu resorowanym amortyzatorami zaopatrzonymi w sprężyny śrubowe. Koła posiadają obręcze odlewane z metali lekkich. Hamulec przy przednim kole jest tarczowy, przy tylnym bębnowy.

Przy kierownicy znajduje się szybkościomierz i obrotomierz, z przodu i z tyłu – lampy świateł kierunkowskazów. Pojemność zbiornika wynosi 8 litrów. Długość motocykla 1850 mm, ciężar 86 kg. Szybkości maksymalne wynoszą:

- solo w pozycji leżącej 90 km/godz.
- solo w pozycji siedzącej 80 km/godz.
- z dwiema osobami 75 km/godz.

Zużycie paliwa od 3,8 do 4,8 litra na 100 km. Zużycie oleju 0,24 litra na 100 km.

ZENON DUTKIEWICZ

ZASADNICZA SZKOŁA BUDOWLANA RACIBORSKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA BUDOWLANEGO W RACIBORZU

ogłasza zapisy do klas pierwszych bez egzaminów wstępnych

Szkoła uczy zawodów:
- murarz-tynkarz
- technolog robót wykończeniowych
- monter wewnętrznej instalacji budowlanej

Warunkiem przyjęcia jest ukończenie szkoły podstawowej. Szkoła zapewnia uczniom:
- bezpłatny garnitur wyjściowy
- codzienne bezpłatne posiłki regeneracyjne
- dopłaty do biletów miesięcznych PKS, PKP i WPK
- internat

Inne świadczenia, z których korzystają uczniowie:
- wyróżniający się uczniowie mają możliwość wyjazdu na praktykę wakacyjną za granicę (NRD)
- uczniom przyznawane są nagrody z Zakładowego Funduszu Nagród
- w przypadku trudnych warunków materialnych uczniowie mogą uzyskać bezzwrotne zapomogi pieniężne.

Absolwenci ZSB:
- mogą być skierowani na dalszą naukę do Technikum Bodowlanego
- mają zapewnioną pracę na budowach Raciborskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego
- mają możliwość otrzymania mieszkania w ramach akcji patronackiej ZSMP z częściowym odpracowaniem wkładu mieszkaniowego
- mają możliwość ukończenia kursu operatorów sprzętu średniego oraz kursu montażystów budowlanych.

Zapisy przyjmuje:
Raciborskie Przedsiębiorstwo Budowlane
w Raciborzu, ul. Sienkiewicza 1; pokój nr 4, tel. 21-56, wew. 66.

K-56/1

INTRUZI I GOŚCIE

W otaczającym nas świecie zwierzęcym, podzielonym na blisko 1,5 miliona różnych gatunków – stosunki wzajemnej zależności układają się w sposób bardzo złożony i różnorodny. Najbardziej rozpowszechnioną ich formą jest ciągła rywalizacja o pokarm i miejsce w przestrzeni, określana ogólna nazwą walki o byt. Prowadzi ona do niszczenia gatunków gorzej przystosowanych. W przyrodzie oprócz walki krwawej spotykamy się też ze współzawodnictwem, a poza tym osobniki różnych gatunków mogą wchodzić w związki oparte na współpracy i wzajemnej pomocy. Prześledźmy niektóre z tych zjawisk na przykładzie krakowskiego Ogrodu Zoologicznego.

Krakowskie ZOO w Lesie Wolskim, choć nie należy do największych w kraju, już drugie pół wieku – mimo oddalenia od miasta, a z uwagi na swe urocze położenie – cieszy się dużą popularnością. A na przestrzeni tych lat miało do czynienia z wieloma „intruzami" – przychodzącymi z terenu lasu.

Początkowo, podczas prac związanych z pełnym ogradzaniem terenu – wiele zwierząt, jak jelenie, antylopy, sarny, kangury – było płoszonych przez... psy. Instynkt nakazywał tym zwierzętom uciekać, aby znaleźć się jak najdalej od miejsca, gdzie jakieś kudłate czworonogi szczekają, gryzą, szczerzą zęby. Spłoszone uciekały więc, tak jak z dawien dawna czyniły to na wolności. Nie raz i nie dwa, w ucieczce po lesie, splątane gałęzie i krzewy stawiały im opór. Wtedy to właśnie silny rzut ciała na przeszkodę prowadził do utorowania sobie drogi. Zwierzęta traktowały więc drucianą siatkę nie jako coś co odgradzało je od idealnej wolności – lecz jako rodzaj gęstwiny, przez którą mocnym rzutem ciała trzeba się przedostać.

Sporo zwierząt ten sposób rozumowania przypłaciło życiem, padając od ran przy ucieczce przez siatki...

Kolejnym problemem był świerzb. Został on przeniesiony na teren ZOO przez lisy. Zakażenie następowało za pośrednictwem stykania się lisów z siatkami, za którymi były zwierzęta, ptaki. Dyrekcja ZOO zmuszona została do likwidacji części zwierzyny, jak też lisów pochodzących z terenu lasu. Postępować musiano szybko i radykalnie. Jednak jeden wściekły lis przedostał się do 50-metrowej woliery ptaków drapieżnych – do sępów. Jednego z nich pogryzł tak znacznie, iż sądzono, że sęp padnie na skutek odniesionych ran.

W pierwszym rzędzie odstrzelono więc lisa. Ten sam wyrok zapadł na sępa. Chodziło o wykluczenie przykrych następstw ewentualnego podrapania czy zranienia przez niego. Wiadomo bowiem, że zarazek tej zakaźnej choroby dość łatwo poprzez zranioną skórę może przedostać się do organizmu człowieka. Sępa udało się jednak uratować. Starszy asystent hodowlany – inżynier Władysław Myjak, odizolował go, przechowując na zapleczu. Po kilku tygodniach rany zabliźniły się, a u podopiecznego nie stwierdzono najmniejszych objawów wścieklizny. Ten osobliwy przypadek kazał mniemać, że sępy są uodpornione na ten rodzaj wirusa.

Mimo przebywania zwierząt w klatkach – intruzi z zewnątrz w trudniejszych nawet sytuacjach potrafią sobie z nimi poradzić...

W ubiegłym roku zanotowano np. przypadek, kiedy w klatce z bażantami znaleziono te ptaki z pourywanymi głowami. Przykry był to widok. Jak mogło do tego dojść? Lis najprawdopodobniej skradał się koło klatki. Bażant, chcąc go dziobnąć – nie przewidział sytuacji, w której sprytniejszy i zwinniejszy lis poczęstuje go zębami.

Kolejnymi intruzami atakującymi krakowskie ZOO są drobne gryzonie leśne – kuny, tchórze, łasice. W latach masowych wystąpień myszy i szczurów – a więc gryzoni przebywających tam, gdzie można znaleźć coś do zjedzenia – kuny, tchórze, łasice stają się ogromnymi sprzymierzeńcami człowieka w walce z tymi szkodnikami. Wystarczy przecież dodać, że łasica czy kuna zjada wszystko, co może zabić, a zabija znacznie więcej niż sama może zjeść.

Nie zawsze jednak ataki przybyszów z zewnątrz kończą się pomyślnie dla nich samych. Jak wynika z rozmowy z inż. Myjakiem – był on świadkiem pokonania łasicy przez prawowitego mieszkańca ZOO... bociana! Miało to miejsce w dzień, co potwierdza przypuszczenia, że łasica poluje nie tylko w nocy, ale i dniem. Podkradła się ona w pobliże bociana, chodzącego swobodnie przy malowniczym stawie na środku ZOO i skoczyła, czepiając się łapami bocianiej szyi. I cóż było dalej? Czy można uwierzyć, że bocian kilkoma ruchami głowy, swoistym balansowaniem długą szyją – spowodował, że ten blisko 30-centymetrowy gryzoń znalazł się w... bocianim brzuchu!

Jak więc przy okazji można się było przekonać, bociany nie żywią się samymi rybami i żabami. Ich wewnętrzna potrzeba przetrwania pozwala na pokonanie i grubszych kęsów.

Poza intruzami na terenie ZOO spotyka się nieraz „gości". W przyrodzie, wspólną formę życia polegającą na tym, że jeden z partnerów dostarcza drugiemu mieszkania lub pokarmu, sami nic od niego nie otrzymując, nazywamy komensalizmem. Tego typu sytuacje również obserwowano w krakowskim ZOO. Na przestrzeni lutego i marca przylatywał tam swego czasu samotny samiec kruka. Szczególnie w rannych godzinach siadał na klatce kruków i charakterystycznie tokował. Gdy zbliżył się ktoś z pracowników – przybysz odlatywał na pobliskie drzewo i wówczas rozpoczynała się „rozmowa" na odległość. Jak powiadomił mnie inżynier Janusz Kuciński – starszy asystent sekcji dydaktycznej ZOO – „przyjaźń" między tymi krukami doprowadziła do tego, że kruki z klatki... transportowały potem swemu kruczemu gościowi kawały mięsa! A więc dziki kruk korzystał na tej „przyjaźni". Nie wiadomo co spowodowało odwiedziny kruka – czy chodziło o bliższą znajomość czy może poczęstunek sprowadził go do klatki. Wg bliżej nie potwierdzonych informacji samiec ten przyprowadził potem samicę i para ta zagnieździła się w lesie – koło klasztoru Kamedułów.

Nieliczni przedstawiciele bardzo zróżnicowanej i licznej rodziny 10 000 ptasich gatunków, z których około 400 żyje w środkowej Europie, goszczą po kilka dni na terenie ZOO. Obserwuje się więc szpaki, gromadnie żerujące, w okresie zimowym spotkać można gile, jemiołuszki, szczygły, krzyżodzioby i kaczki krzyżówki szczególnie systematycznie dokarmiane.

Poza czasowym przebywaniem ptactwa i jego gniazdowaniem, notowano też przypadki opuszczania przez ptaki terenu ZOO. Kiedy przenoszono pewnej jesieni kaczki kazarki ze stawu – na tzw. zimowisko, stwierdzono brak jednej z nich. Kierownictwo uznawszy, że została skradziona, bądź padła ofiarą drapieżnika – wypisało ją protokolarnie ze stanu. Jakież było zdziwienie, gdy wiosną następnego roku znów zobaczono tę samą kaczkę na stawie! Wniosek był prosty. W czasie jesiennych ptasich odlotów kazarka odleciała gdzieś na południe może w delcie Dunaju przezimowała, po czym wróciła.

Nie zawsze widziana naszymi oczyma, wierność czy przywiązanie w świecie zwierząt – po głębszym przeanalizowaniu sprawy tak właśnie wygląda... Oto mała polna mysz – siedząca w ZOO na karku węża. W pierwszej chwili żal nam myszki, gdyż spodziewamy się finału – ale potem wydaje się, że nic nie jest w stanie zakłócić tej harmonii. Musimy sobie jednak zdać sprawę, że ta harmonia, a konkretnie obojętność okazywana myszy przez węża – trwać będzie jedynie do momentu zakończenia u niego procesu linienia, a co za tym idzie – do zakończenia okresu fizjologicznego braku apetytu. Wtedy to, obojętna dotąd mysz – będzie już tylko poruszającym się kawałkiem smacznego pokarmu. Jakże więc wąż miałby się oprzeć takiej pokusie – i po co? O „przyjaźni" nie będziemy już mówić – pozostaną po niej tylko wspomnienia.

My ludzie – pragniemy wprowadzić w życie żelazne przepisy i rygory – co wolno, a czego nie wolno. W świecie zwierząt nie istnieją „prawa", które mogą być naruszane, ani „procedura", według której naruszanie owo mogłoby być karane, nie ma też „trybunałów" – orzekających na podstawie ludzkiego kodeksu obyczajowego.

BARBARA CHOLEWA

Fot. **Zdzisław Wdowiński (kolor) i Andrzej Turczański**

▼ *Któż by pomyślał, że to przyszły drapieżnik! A tak właśnie jest – mamy przed sobą młodą kunę leśną*

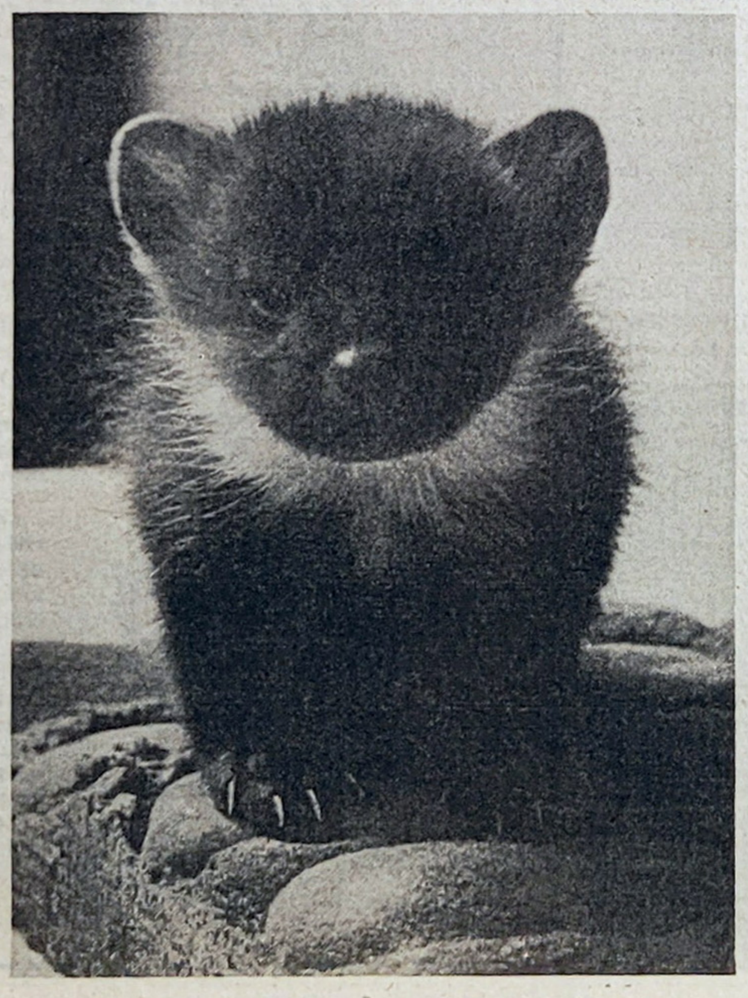

▼ *Młody lis*

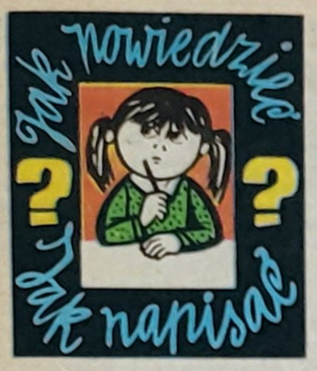

Droga Kropko, mam kilka pytań do Ciebie. 1) Co oznacza wyraz „sic"? 2) Zdanie formułujemy czy formujemy? 3) przekracza się 15 lat życia czy 15 rok życia? 4) Mówimy pełnoletni czy pełnioletni? 5) Mieszkaniec Świdnicy to świdniczanin, a mieszkaniec Świdnika? 6) Poprawniej jest włókniarz czy włókiennik?

Darek z Lublina

1) Wyraz „sic" (pożyczony z łaciny) znaczy: **tak**, a stawiamy go po zacytowanym wyrazie lub zdaniu, by podkreślić, że tak właśnie było powiedziane czy napisane. Często jest to uwaga ironiczna: widzicie, coś tak nieprawdopodobnego, tak bzdurnego można było wymyślić! Wyraz ten przeważnie piszemy w nawiasie i z wykrzyknikiem. Czytamy go: s-ik, z **s** twardym, w żadnym razie nie tak, jak np. początek rzeczownika sikawka. 2) **Formować** można coś materialnego, ot, choćby bułeczki z drożdżowego ciasta. Gdy chodzi o ujmowanie czegoś w odpowiednią formę słowną, przydaje się czasownik **formułować**. Formułujemy wnioski, poglądy, zasady, myśli, no i zdania. 3) Lepiej powiedzieć, że się **skończyło 15 lat** albo że się **zaczyna piętnasty rok życia**. Owszem, można przekroczyć pewien wiek (przekroczył już wiek, w którym ma się siły zaczynać wszystko od nowa), ale nie ileś tam lat. A więc: przekroczył trzydziestkę, a nie trzydzieści lat. 4) To już mogłeś znaleźć w pierwszym lepszym słowniku – **pełnoletni**. 5) Świdnica i Świdnik mają nie tylko wspólny przymiotnik (**świdnicki**), ale także nazwę mieszkańca. Tak więc czy ktoś pochodzi ze Świdnika, czy ze Świdnicy jest **świdniczaninem**. 6) **Włókniarz**.

Jak to jest z wybieraniem kogoś na jakąś funkcję czy stanowisko? Czy wybieramy kolegę na przewodniczącego samorządu, czy wybieramy go przewodniczącym samorządu? Został wybrany premierem czy na premiera?

Agata P-ska

Wybieramy kogoś **na przewodniczącego, na prezesa, na premiera**, a nie przewodniczącym, prezesem, premierem, bo to rusycyzm.

Nie bardzo wiem, jak odmieniać czasownik lubić. Kiedyś lubiłam ją czy lubiałam?

Gośka z Opola

Z tym lubieniem sporo zamieszania, więc zróbmy porządek z całością odmiany. Po pierwsze bezokolicznik: **lubić**, a nie lubieć. Oni **lubią** (nie: lubieją), on **lubił**, ona **lubiła**, ja **lubiłam**, ty **lubiłeś** (zamiast niepoprawnego: lubiał, lubiała, lubiałam, lubiałeś), oni **lubili** (nie: lubieli). No i **lub** mnie!

Wasza KROPKA

CO DALEJ ÓSMA KLASO

Krawiec

W dzisiejszych czasach znaleźć krawcową, a zwłaszcza dobrą, jest bardzo trudno. Dlatego dziewczyny, chcące wyglądać modnie, same wzięły się za szycie. W najlepszej sytuacji znalazły się te ze szkół odzieżowych.

Do zawodu odzieżowca przygotowują zasadnicze szkoły zawodowe, szkoły dokształcające, przyzakładowe oraz technika. Kształcą one w zawodach: krawiec odzieży damskiej ciężkiej, krawiec odzieży damskiej lekkiej, krawiec odzieży męskiej, krawiec odzieży dziecięcej oraz krawiec-szwacz.

Nauka w szkołach zawodowych trwa 3 lata. Program nauczania obejmuje przedmioty ogólnokształcące i zawodowe oraz praktyczną naukę zawodu. Odbywa się ona w warsztatach szkolnych, lub (w wypadku szkół przyzakładowych i dokształcających) w zakładach przemysłowych pod opieką nauczycieli zawodu. Zamiejscowi uczniowie mogą ubiegać się o przyznanie miejsca w internacie lub bursie. Ponadto młodzież posiadająca dobre wyniki w nauce otrzymać może stypendium.

W branży odzieżowej ze względu na charakter pracy kandydaci powinni posiadać dobrą sprawność ruchową rąk, prawidłowe widzenie, zdolność rozróżniania barw, spostrzegawczość, pamięć wzrokową oraz wyobraźnię przestrzenną. Młodzież z przewlekłymi stanami chorobowymi skóry, skłonnościami do uczuleń, z daltonizmem nie powinna podejmować nauki w szkołach odzieżowych.

Istnieją również 4-letnie technika odzieżowe kształcące specjalistów w krawiectwie ciężkim i lekkim. Do szkoły tego typu uczniowie przyjmowani są na podstawie konkursu świadectw. Konieczne jest również świadectwo zdrowia stwierdzające przydatność ucznia do danego zawodu. Szkołę tę kończy się z tytułem technika określonej specjalności. Uczeń może przystąpić również do egzaminu maturalnego, po zdaniu którego może ubiegać się o przyjęcie na wyższą uczelnię. Technik odzieżowiec powinien poza wiedzą potrzebną pracownikom i produkcyjnym znać: materiały i dodatki krawieckie, zasadę obsługi podstawowych maszyn odzieżowych, budowę i proporcje figury ludzkiej, rysunek żurnalowy i model oraz zasady kolorystyczne odzieży.

Szkoły odzieżowe znajdują się prawie w każdym województwie na terenie Polski.

ADRESY PORADNI WYCHOWAWCZO-ZAWODOWYCH:

KOSZALIN

- Woj. Poradnia Wychow.-Zawod., 75-520 Koszalin, ul. Armii Czerwonej 62, tel. 227-11;
- Poradnia Wychow.-Zawod., 78-200 Białogard, ul. Obrońców Stalingradu 2, tel. 26-20; 21-83;
- Poradnia Wychow.-Zawod., 78-500 Drawsko, Pl. Orzeszkowej 2, tel. 686;
- Poradnia Wychow.-Zawod., 78-100 Kołobrzeg, ul. Graniczna 3/6, tel. 22-33;
- Poradnia Wychow.-Zawod., 75-628 Koszalin, ul. Zwycięstwa 119, tel. 245-17;
- Poradnia Wychow.-Zawod., 78-400 Szczecinek, ul. Wojska Polskiego 6, tel. 35-35;
- Poradnia Wychow.-Zawod., 78-300 Świdwin, ul. Batalionów Chłopskich 6, tel. 23-30;
- Poradnia Wychow.-Zawod., Połczyn-Zdrój, ul. Grunwaldzka 36, tel. 126-95.

KIELCE

- Woj. Poradnia Wychow.-Zawod., 25-317 Kielce, ul. Niska 6, tel. 466-14;
- Poradnia Wychow.-Zawod., 28-100 Busko, ul. Korczaka 6, tel. 35-97;
- Poradnia Wychow.-Zawod., 28-300 Jędrzejów, ul. Reymonta 1, tel. 17-22;
- Poradnia Wychow.-Zawod., 28-500 Kazimierza, ul. Szkolna 1, tel. 213-49;
- Miejska Poradnia Wychow.-Zawod., 25-365 Kielce, ul. Słowackiego, tel. 481-62;
- Poradnia Wychow.-Zawod., 26-200 Końskie, ul. Partyzantów 1,
- Poradnia Wychow.-Zawod., 32-200 Miechów, ul. Sienkiewicza 20, tel. 305-20;
- Poradnia Wychow.-Zawod., 27-200 Ostrowiec, ul. Sienkiewicza 65, tel. 33-36;
- Poradnia Wychow.-Zawod., 28-400 Pińczów, ul. Batalionów Chłopskich, tel. 24-80;
- Miejska Poradnia Wychow.-Zawod., 26-100 Skarżysko, ul. Krasińskiego 11, tel. 858;
- Poradnia Wychow.-Zawod., 25-820 Sławik k/Kielc, tel. 114-90;
- Miejska Poradnia Wychow.-Zawod., 27-200 Starachowice, ul. Leśna 2, tel. 73-85;
- Poradnia Wychow.-Zawod., Włoszczowa, ul. Strażacka 6, tel. 319.

REPORTER Świata Młodych

Zebranie

Wczoraj odbyło się zebranie Samorządu Uczniowskiego, któremu z racji swojego stanowiska przewodziłam. To było pierwsze „moje" zebranie! Liczyłam na pomoc innych członków samorządu. Pomyliłam się bardzo. Tematem zebrania było ustalenie zadań na najbliższy miesiąc. Padło kilkanaście propozycji co do zorganizowania życia w szkole. Wybrałam z tego trzy (urządzić konkurs na najczyściejszą klasę, quiz poświęcony twórczości ludowej naszej okolicy i zorganizować w szkole „Mikołajki").

O, co do ostatniego – zapalili się wszyscy! Wiadomo – zabawa. Kiedy przeszliśmy do omówienia realizacji dwóch pierwszych zadań – spotkałam się z niechęcią, i to wielką! Wszczął się gwar, rumor. Gdy zwróciłam uwagę i zaczęłam planować, co która sekcja będzie robić usłyszałam: „Ona myśli, że my jej będziemy słuchać" i – wyszli. Zwyczajnie w świecie poryczałam się. Zastanawiałam się, w jakim celu właściwie wybrano mnie na przewodniczącą, skoro moje słowa nie docierają do nikogo. Dlaczego samorządy klasowe nie wybrały na gospodynię szkoły kogoś, kogo by słuchano, czyje słowa coś by znaczyły? Uważam, że taka praca bez wzajemnego zrozumienia nie ma sensu. Nie wiem, może popełniłam jakiś błąd w chęci zrealizowania zadań, ale przecież właśnie oni sami wysunęli takie propozycje. A może przez to, co piszę chcę tylko siebie bronić, może rzeczywiście nie nadaję się na „szefową" samorządu?

KAŚKA

Z historii harcerskiego sportu

Z PARZENICĄ NA PIERSIACH

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

Już w marcu i kwietniu 1945 roku podharcmistrz Władysław Walkosz i paru innych instruktorów podejmują organizację drużyn harcerskich na terenie Zakopanego. Postanowili też reaktywować HKN. Natychmiast zgłosiło się wielu byłych jego członków i sporo talentów z drużyn. Prezesem HKN został mgr Ludwik Fischer, a druh Władysław objął funkcję wiceprezesa do spraw chyba najtrudniejszych, bo finansowych.

– Tuż po reaktywowaniu HKN liczył ponad dwustu członków. Wśród nich byli również tacy, którym brakowało talentu lub zdrowia do uprawiania sportu wyczynowego. Byli jednak entuzjastami narciarstwa, zajmowali się więc wszystkim, co mogło ułatwić działalność klubu. Najmowali się do pracy jako bileterzy na zawodach, organizowali zabawy, a nawet prowadzili sklepik „Wspólnota Harcerska". Sprzedawaliśmy w nim stroje harcerskie, pamiątki, książki i różne rzeczy otrzymywane od zakładów wytwórczych. I tak to ciułaliśmy grosz do grosza, by zakupić parę butów czy nart, treningowe dresy lub po prostu zapłacić bilety za przejazd na zawody do Szczyrku czy Krynicy. Wyżywienie każdy brał ze sobą.

Cieszyli się z każdej złotówki, a gdy już uzbierali tyle, że mogli zakupić kilka dresów z emblematem klubu – parzenicą, to wręczali je najlepszym. Wręczanie reprezentacyjnych dresów było okazją do wielkiego święta. Zbierał się cały klub. Trudno opisać radość i wzruszenie tych, którzy je otrzymywali. Ale najwięcej okazji do wzruszeń i radości mieli dzięki odnoszonym przez reprezentantów klubu sukcesom sportowym.

W barwach HKN m. in. startowali: Stanisław Zięba – późniejszy twórca polskiego biathlonu, Stefan Dziedzic – trzykrotny mistrz Polski w kombinacji norweskiej i akademicki mistrz świata, Andrzej Gąsienica Roj – siedmiokrotny mistrz Polski, głównie w zjazdach i pięciokrotny akademicki mistrz świata, a także Tadeusz Kaczmarczyk, Maciej Popieluch, Roman Warczygłowa i Jerzy Banaś – dziś zastępca dyrektora zakopiańskiego Zespołu Szkół Mistrzostwa Sportowego.

Druh Władysław jeszcze raz wraca myślą do roku 1947. W sali teatralnej Morskiego Oka odbywało się uroczyste zakończenie narciarskich mistrzostw Polski. Wtedy to tytuł mistrza w kombinacji norweskiej zdobył po raz pierwszy nieznany nikomu harcerz – Stefan Dziedzic. A wręczenie dyplomów i medali zawsze odbywało się z wielką pompą.

– W uroczystości wziął udział cały nasz klub. Był taki zwyczaj, że mistrzowi w kombinacji – dyplom i medal wręczano pierwszemu. A tu masz – Stefana poproszono na końcu. Wynikło to z zaskoczenia, bo nikt się nie spodziewał, że ten tytuł zdobędzie jakiś tam chłopak, z jakiegoś tam harcerskiego klubu. Zgotowaliśmy Stefanowi taką owację, jakiej nikt jeszcze żadnemu mistrzowi chyba nie zgotował. I na koniec zaśpiewaliśmy hymn naszego klubu – „Z parzenicą na piersiach". Wzruszająca to była chwila i nawet starzy działacze mieli łzy w oczach.

Obok sekcji narciarskiej w HKN działały również sekcje: piłki nożnej, siatkówki, koszykówki, tenisa, hokeja, lekkiej atletyki, wysokogórska, a nawet szybownictwa. Największe sukcesy HKN odnosił jednak w konkurencjach narciarskich. A sukcesy te zdobywali w ogromnym trudzie, godząc naukę, pracę i sport. Znajdowali jednak zapał i siły do pracy przy naprawie, i budowie urządzeń i obiektów sportowych.

– Zamiast obozu treningowego – w sytuacji, gdy trzeba było pokryć gontami dach budynku na stadionie przy ul. Kościuszki, a z forsą w klubie było krucho – zrobiliśmy kondycyjny. Mieszkaliśmy w schronisku w Roztoce, a całe 12 dni ścinaliśmy smreki na stoku Wołoszyna. Jesień, deszcz, a bractwo pracowało piłami i siekierami, by spuścić smreki, obrać z gałęzi, pociąć na odpowiedniej długości kloce i znieść do drogi. Gonty z tego były jak się patrzy i trening siłowy taki, że lepszego nie trzeba.

Od tamtych czasów wiele się w sporcie zmieniło. Zawodnicy nie pakują już do plecaków skromnych kanapek i butelek z herbatą, nie jeżdżą na zawody za własne lub kolegów pieniądze, nie startują w połatanych butach i na dziadkowych nartach, nie zbierają też chrustu, by napalić w piecu i choć trochę ogrzać zbiorową kwaterę.

Może właśnie dlatego warto od czasu do czasu posłuchać wspomnień tych, którzy w tamtych czasach wspólnie przeżywali radość wysiłku i zmęczenia, gorycz niepowodzenia i radość sukcesu. To ich łączyło dawniej i łączy dziś – entuzjastów sportu bez zawiści i sportu bez świadczeń materialnych, kierujących się w życiu sportowym i harcerskim kanonem zachowania wartości.

RYSZARD RATAJCZYK

Róża wyczekała chwileczkę, nim odpowiedziała.

– Nie idę.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę. Coś ci się nie podoba?

– Ktoś mi się nie podoba. Konkretnie ty.

– Nawzajem.

Po tych nieprzyjaznych oświadczeniach zapadła niezręczna cisza. Jeżeli Róża odejdzie teraz, nieznajomy nigdy nie odezwie się już do niej. Róża wie to na pewno i, co najdziwniejsze, wcale tego nie pragnie. Wolałaby pójść z tym chłopakiem na pływalnię, ale przecież nie może. Jak wejść na pływalnię – bez pięciu złotych i bez kostiumu?

– Możemy zrobić zawody po obiedzie – decyduje się nagle. – Przyjdę tu koło czwartej. Będziesz?

Nos chłopaka marszczy się śmiesznie, nie wiadomo, czy z radości, czy z zaskoczenia propozycją Róży. A może to jest uśmiech?

– Dobra, będę.

– Poczekaj, jakbym się spóźniła.

Nie mówi, gdzie ma poczekać, ale to zupełnie jasne, że w tym miejscu, gdzie teraz stoją. On to także rozumie i nie pyta o nic.

Do dziury w parkanie Róża dociera szybciej, niż się spodziewała, ale każdy dotarłby szybciej, gdyby biegł podskakując, tak jak Róża. Bo Róża jest bardzo ucieszona. Gdyby jej powiedzieć, że spotkaniem z nieznajomym chłopcem, poczułaby się dotknięta – jest ucieszona w ogóle. I tym, że dzień jest upalny, i tym, że jadła takie lody, i tym, że z taką niezachwianą pewnością porusza się po ulicach obcego miasta, i tym, że popływa sobie po obiedzie. No i poznaniem tego chłopaka także. Człowiek czuje się łyso, kiedy nie zna nikogo.

Nikt z tamtych trojga, ani krucha kobieta, ani przygarbiona Natalia, ani pan z wąsami, nie ma nic przeciwko temu, żeby Róża poszła na pływalnię. Tylko nie zaraz po obiedzie i żeby spocona nie wchodziła do wody, i żeby uważała, bo na pływalni także nietrudno o wypadek.

To ostatnie oczywiście powiedziała niska pani, a Róża aż uśmiechnęła się w głębi duszy. Dobrze ją rozszyfrowała. Takie osoby każde przejście przez jezdnię traktują jak wyprawę na Czomolungmę albo próbę przepłynięcia w balii Oceanu Spokojnego. Ale trzeba przyznać kruchej kobiecie, że ograniczyła się tylko do przestrogi, chociaż przez moment wyglądało na to, jakby miała zabronić tej wyprawy na pływalnię.

– Niech Różyczka wraca na szóstą. – Zgarbiona Natalia dopędziła ją przy dziurze w płocie. – Nawet Różyczka nie wie, jakie to ważne, żeby wcześnie wrócić. Lepiej nawet przed szóstą.

Chociaż czekał na umówionym miejscu, udawał, że nie widzi nadchodzącej Róży, bardzo zajęty przetaczaniem noskiem trampka jakiegoś kamyka.

– Cześć.

– Cześć – pozdrowił ją takim samym tonem.

Pływalnia była nieduża. Ot, basenik, trampolina, a naprzeciwko trampoliny zjeżdżalnia dla dzieci. Tam było najgwarniej i najtłoczniej. Mała dziewczynka wrzeszczała wniebogłosy, kiedy chłopcy ochlapywali ją wodą.

Rzecz jasna, Róża z pogardą ominęła płyciznę przeznaczoną dla maluchów, stanąwszy na słupku startowym, rozejrzała się od niechcenia, ale on jeszcze nie wyszedł z szatni.

Nie ma obawy, znajdzie się – pomyślała i już była w wodzie.

Skoczył jej prawie na głowę, a w każdym razie tak, żeby wywołać jak największą falę. Potem nie spojrzawszy, co się stało z Różą, popłynął delfinem wynurzając się do pół ciała po każdym uderzeniu ramion, robił bardzo dużo plusku, rozbryzgiwał wokół jasne bryzgi wody, słabsi pływacy pośpiesznie umykali z drogi rozpędzonej torpedzie.

Dopłynął do schodków, jednym susem wyskoczył z basenu i wbiegł na trampolinę. Przez moment ważył się stojąc na czubkach palców, nim skoczył. Wyszło mu, rzeczywiście wyszło, wsunął się w toń, woda zamknęła się nad nim bezszelestnie, tylko kilka rozchodzących się kręgów wskazywało miejsce skoku.

– Skaczesz?

Spotkali się przy schodkach, potrząsał głową, pewno nalało mu się do ucha.

– Ja ze skokami nie bardzo – przyznała się uczciwie. – W ogóle pływam średnio.

– Krytą żabę masz pierwszorzędną. – Więc jednak widział poczynania Róży, chociaż mogło się wydawać, że ani razu nie spojrzał w jej stronę. – Jak na dziewczynę, można powiedzieć, pierwszorzędną superekstra.

– Z tobą się nie będę próbowała. Jesteś lepszy.

Cdn.

Autorką naszego portretu „na ludowo" jest Ewa Sienkiewicz.

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Pewien listonosz bezskutecznie próbuje ściągnąć windę. Dozorca bloku woła:

– Nic z tego! Winda zepsuta!

– A to pech! Właśnie mam pilny list na dwunaste piętro!

– Poradzę panu: niech go pan wyśle pocztą!...

*

– O, biedaku! Kto ci nabił takiego okropnego guza na głowie?!

– Pszczoła...

– Użądaliła?

– Nie, brat zabił ją łopatą.

*

– Tato, jaka jest różnica między tchórzostwem i ostrożnością?

– Tchórzostwo, synku, to gdy inni się boją, a ostrożność, gdy my się boimy...

*

W sądzie zeznaje całkowicie łysy świadek:

– Gdy to zobaczyłem, proszę sądu, włosy zjeżyły mi się na głowie...

– Sąd zwraca uwagę, że świadek zeznaje pod przysięgą...

*

Ewa Sienkiewicz proponuje zabawę w przekręcanie przysłów. Chętnie wydrukuję, jeśli ktoś coś dowcipnie przekręci! Ewa wyszperała w „Gosposi" takie oto przysłowia:

- **Póty dzban wodę nosi – póki nie założą wodociągu.**
- **Kto pod kim dołki kopie – ten najczęściej pracuje w kanalizacji.**
- **Czym chata bogata – tym większy podatek.**
- **Gdzie dwóch się kłóci – tam trzeci może się sporo dowiedzieć.**

Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**

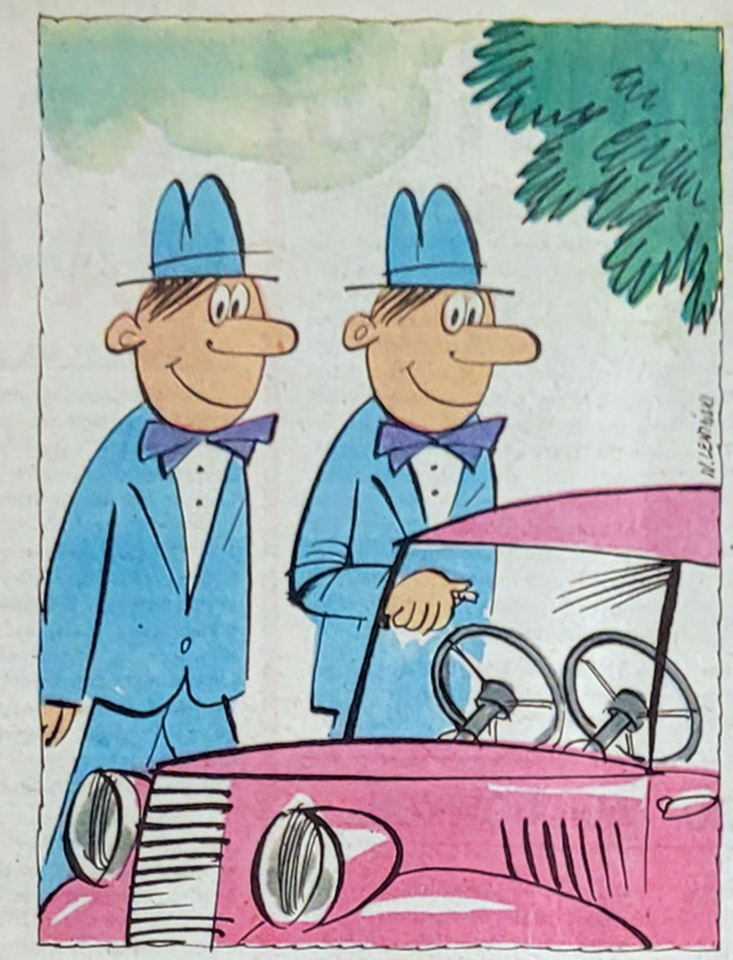

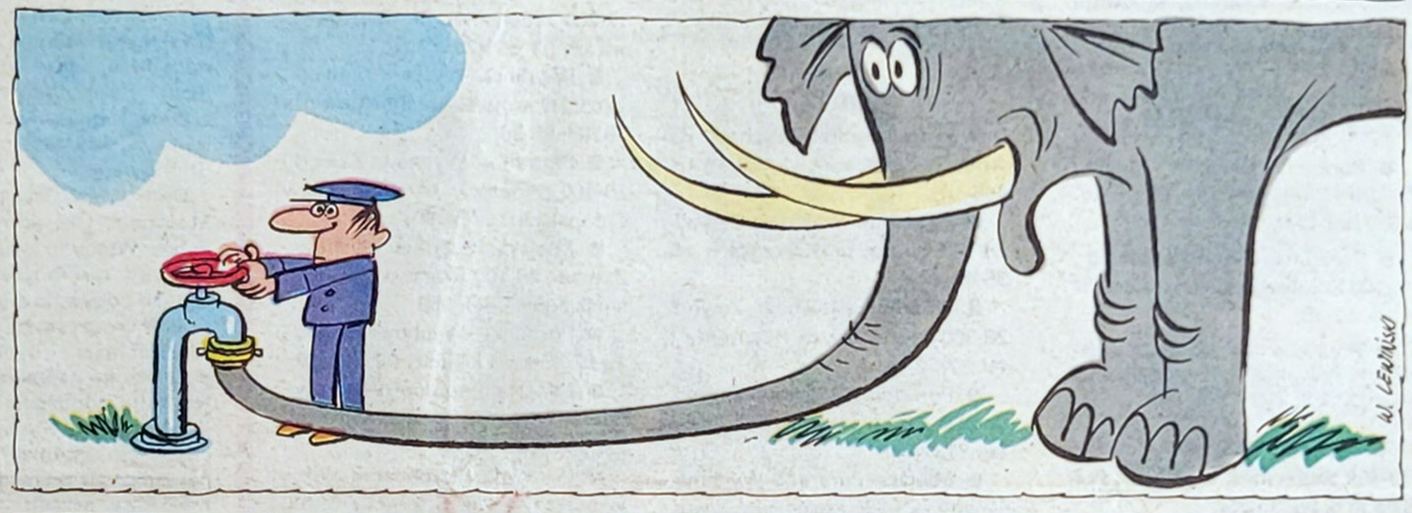

RZEPKLUB

Przyjmuję do klubu Jarka Skoczyńskiego. Obok – wybrane przez niego żarty rysunkowe.

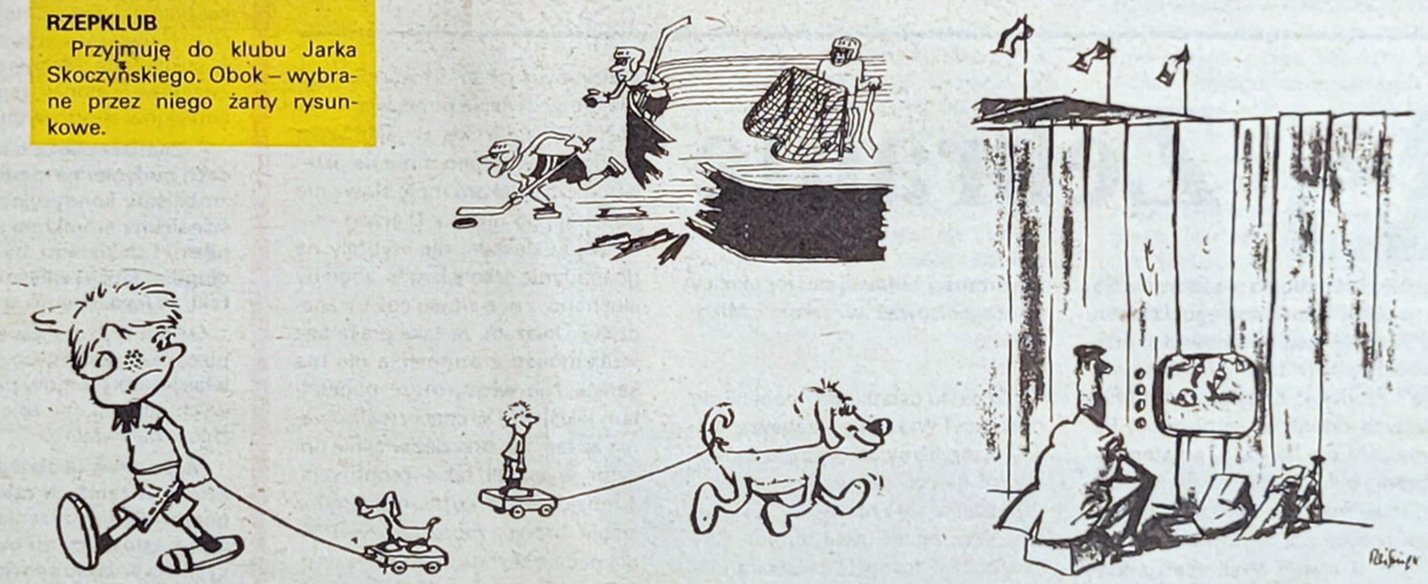

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.).

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153-201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne
Małgorzata Waś

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 1589/G O-55

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

DZIEŃ, NOC I PORA NICZYJA

EWA NOWACKA

12

To już było powiedziane prawie nieprzyjaźnie. Chłopak obrócił się na pięcie i odszedł w stronę rynku. Najwidoczniej uznał, że Róża nie jest kimś, przed kim warto ukrywać plastykową torbę, niósł ją teraz nieomal ostentacyjnie, niczym bojowy sztandar, groźnie powiewała zielona nać marchewki.

Nie zwracając sobie głowy humorami nieznajomego, Róża po wydeptanych schodkach zeszła do parku, gdzie przyjaźnie wabiły błękitnawe cienie. Park jak park, wózki z niemowlętami babcie i dziadkowie na ławkach, dwie zagadane panie przed fontanną tryskającą z czterech rogów skąpymi strumykami wody, po stawie z fontanną żeglował niesłychanie poważnie jeden, jedyny łabędź.

– Był drugi, był. – Zagapienie Róży ktoś wziął za namysły nad samotnością łabędzia. – Ale go chuligani zabili kamieniami. Co to za młodzież teraz!

Przez moment Róża wyobraziła sobie chłopaka, który do niej zagadał, ściskającego w dłoni kamień. Nie, on by nie mógł zrobić czegoś takiego, na pewno by nie mógł. Właściwie dlaczego się na niego obraziła?

Bo nie lubię. – Nie wiedziała wcale, czego nie lubi. Czy akurat tego chłopaka, czy zagadywania, czy w ogóle towarzystwa kogoś nieznajomego? Wystarczy, że nie lubi.

Tutaj, pod płaszczem liści, było chłodniej, chociaż zbliżało się południe. Przydałby się zegarek, tamci państwo na pewno przestrzegają punktualności. W zeszłym roku Róża na kolonii spóźniła się na kolację, ot, niewiele, pół godziny, a gadania było tyle, że śmiało mogłaby spóźnić się ze trzy dni.

– Przepraszam, która godzina?

Zagadnięty uniósł ku oczom zegarek na grubym łańcuszku, pstryknął palcem w kopertę i ogłosił:

– Za siedemnaście dwunasta. Czas gwarantowany. To, moja panienko, prawdziwy „patek", minuty się nie pospieszy ani nie spóźni.

Ma jeszcze niecałe dwie godziny. Trzeba ze dwadzieścia minut liczyć na powrotną drogę, a może trochę więcej, jeszcze coś jej się pokręci, chociaż jest prawie zupełnie pewna, że potrafi z zawiązanymi oczami trafić do dziury w płocie. Dziura w płocie? Co za pomysły, żeby przechodzić przez dziurę w płocie, a nie, jak wszyscy ludzie, furtką!

Oglądała chyba w zeszłym roku taką komedię o zwariowanym dziadku, który wychodził z domu wyłącznie oknem, sypiał ze strzelbą pod poduszką i grywał na waltorni złotym rybkom. Zresztą ten dziadek przechytrzył szajkę groźnych gangsterów. Pamięta, że bardzo się śmiała oglądając draczne przygody. To czemu nie śmiała się wczoraj?

Zobaczę pływalnię – postanowiła.

Pływalnia była właściwie prawie w parku. Zza wysokiego parkanu wypięła się trampolina, słychać było nawoływania i plusk wody.

Ogromnie głupio było stać pod tym parkanem – bez pięciu złotych na wstęp i bez kostiumu pozostawionego w torbie. Tym głupiej, że nagle usłyszała:

– Może teraz zobaczymy, kto lepiej pływa?

To był znowu tamten chłopak z mostu, tylko że już bez plastykowej torby.

Jasnowłosy, wysoki, podobny trochę do Krzyśka z VIII b. Tym razem Róża przyjęła jego słowa jako coś najnaturalniejszego. Ostatecznie znali się już, to znaczy w pewnym sensie znali, coś już wiedziała o nim, chociażby to, że łatwo się obraża.

– No co, idziesz popływać czy nie idziesz?

Dokończenie na str. 7